CZWARTEK
Nr 119 2 XII 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Ptakoluby, obserwujcie niebo !

WIDZIELIŚMY 56 MYSZOŁOWÓW NAD PABIANICAMI

– piszą Mariusz Hanczka i Mariusz Kuliberda

Nie tak łatwo jest dziś, zwłaszcza w mieście, zobaczyć ptaka drapieżnego, a co dopiero – całe stado. Ale oddajmy głos naszym czytelnikom, którym udało się poczynić taką obserwację, i to na dodatek w... szkole:

„Na przerwie wyszliśmy na boisko, a było to między godziną 9.40 a 9.50. Ujrzeliśmy nad miastem stado ptaków. Były to myszołowy. Krążyły na znacznej wysokości, a było ich 15. Po chwili zaczęły nadlatywać z północy pojedyncze osobniki. Było ich 17. Wreszcie zza bloku wyłoniło się stado liczące 24 myszołowy. Widok, który ujrzeliśmy, przeszedł nasze wyobrażenia. Olbrzymie stado, liczące 56 osobników, krążyło nad Pabianicami. Powoli ptaki zaczęły przemieszczać się w kierunku południowym. Chcielibyśmy dowiedzieć się, dlaczego myszołowy gromadzą się w tak wielkie stada i tak licznie przebywają nad miastem...". Rzeczywiście, widok, jaki ujrzeli nasi korespondenci, może dziwić; wszak nasze ptaki drapieżne widujemy zwykle w pojedynkę, parami (w okresie lęgowym), bądź, po zakończeniu lęgów, w gromadkach, stanowiących rodziny. Jednak u tych, które jesienią wędrują, zaczynają się ujawniać wtedy skłonności stadne. Widać to nie tylko u myszołowów, ale też np. u błotniaków, kań i innych drapieżników, które jednak nie tworzą dziś stad zbyt licznych, choćby dlatego, że jest ich już mało. Stosunkowo najczęściej widujemy gromady myszołowów. Dotąd pod naszym znaczkiem klubowym zamieszczaliśmy dwukrotnie takie wiadomości. Za pierwszym razem chodziło o niewielką gromadę, później (13 XI 1980 r.) zamieściliśmy notatkę „30 myszołowów nad Warszawą", też opartą na spostrzeżeniu czytelników. Obaj obserwatorzy, których wiadomości podajemy dziś (a pochodzi ona z 18 października br.), mieli najwięcej szczęścia, bo zauważyli wyjątkowo liczne stado.

Pojawiające się na jesieni w stadach myszołowy – to ptaki wędrujące; wędrówki ich są zresztą często tylko koczowaniem. To, że znalazły się akurat nad miastem, jest kwestią przypadku, nie mają tu one bowiem żadnego „interesu", łowiąc zdobycz na polach. Jesienią nad miastem uważny obserwator może zobaczyć i inne, niekiedy rzadkie, skrzydlate drapieżniki, nie wyłączając orłów. Ale wśród ptaków drapieżnych są i takie, które specjalnie na zimę przylatują do miast, by chwytać tu wróble i gołębie. Najczęściej są to krogulce, nieco rzadziej ich więksi krewniacy, jastrzębie. Kiedyś – zanim niemal doszczętnie wyginął – zimowym gościem w naszych miastach, a nawet ich stałym mieszkańcem bywał sokół wędrowny.

(tok)

WARSZAWSKI PAŁAC MŁODZIEŻY

zaprasza w sobotę

Tym razem przygotowano propozycje spędzenia wolnego czasu dla młodszych, w wieku 6–12 lat. W sobotę Pałac Młodzieży będzie gościł zespół teatralny z MDK w Pruszkowie, który zaprezentuje inscenizację bajki J. Ch. Andersena pt. „Nowe szaty króla". Po spektaklu przewidziane są odwiedziny w pałacowych pracowniach artystycznych: ceramiki, tkactwa, plastycznej. Wszystkich chętnych Pałac Młodzieży zaprasza w najbliższą sobotę, 4 XII o godz. 10.00.

CO JEST POD DNEM ZALEWU SZCZECIŃSKIEGO ?

(PAP). Pracownicy Zakładu Teledetekcji Okręgowego Przedsiębiorstwa Geodezyjno-Kartograficznego w Szczecinie przeprowadzili wraz ze swymi kolegami z Krakowskiego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego badania dotyczące wykorzystania w gospodarce morskiej specjalnego radaru stwarzającego możliwość „zajrzenia" do podpowierzchniowych warstw Ziemi. Naukowcy zamierzają go wykorzystać m. in. do badania dna Zalewu Szczecińskiego i Jeziora Dąbskiego, gdzie odkładają się corocznie znaczne ilości namułu. Dla utrzymania warunków żeglowności przez Zalew i Jezioro Dąbskie konieczne jest usuwanie jego nadmiaru. Są to operacje niezbędne, ale i kosztowne. Ustalenie za pomocą radaru podpowierzchniowego, jak kształtują się warstwy namułu, umożliwi lepszą organizację robót związanych z pogłębianiem dna.

Radar podpowierzchniowy może być także wykorzystany do inwentaryzacji zniszczonych obiektów z okresu wojny, po których pozostały tylko ruiny, pozwoli na stwierdzenie, w jakim stopniu tereny te nadają się do wykorzystania i jakich prac w tym celu wymagają.

(jo)

Malowane pomniki

Pomniki w antycznym Rzymie były... malowane. Specjaliści zajmujący się restaurowaniem zabytków sztuki w tym starożytnym mieście mają na to dowody. Chemiczne i elektrograficzne analizy wykazują, że farba zatykała pory marmuru i dzięki temu chroniła pomnik przed szkodliwym działaniem wilgoci. **(jz)**

MŁYNY NIEPOTRZEBNE ?

Na Politechnice Krasnojarskiej opracowano nową technologię wypieku chleba. Ciasto chlebowe wyrabia się nie z mąki, lecz bezpośrednio z ziarna, które moczy się w wodzie aż do rozmiękczenia. Ze 100 kg ziarna otrzymuje się tylko 78 kg mąki, podczas gdy nowa metoda przewiduje niemal 100 proc. wykorzystania ziarna. W Krasnojarsku skonstruowano również specjalne urządzenie umożliwiające usunięcie z powierzchni ziarna bardzo cienkiej warstwy ochronnej, dzięki czemu nie traci ono swoich cennych składników (witaminy, białko, tłuszcze roślinne i in.) Urządzenie opatentowano w USA, Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, RFN i we Włoszech. **(jo)**

patrz str. 5

POLSCY NAŚLADOWCY RUBIKA

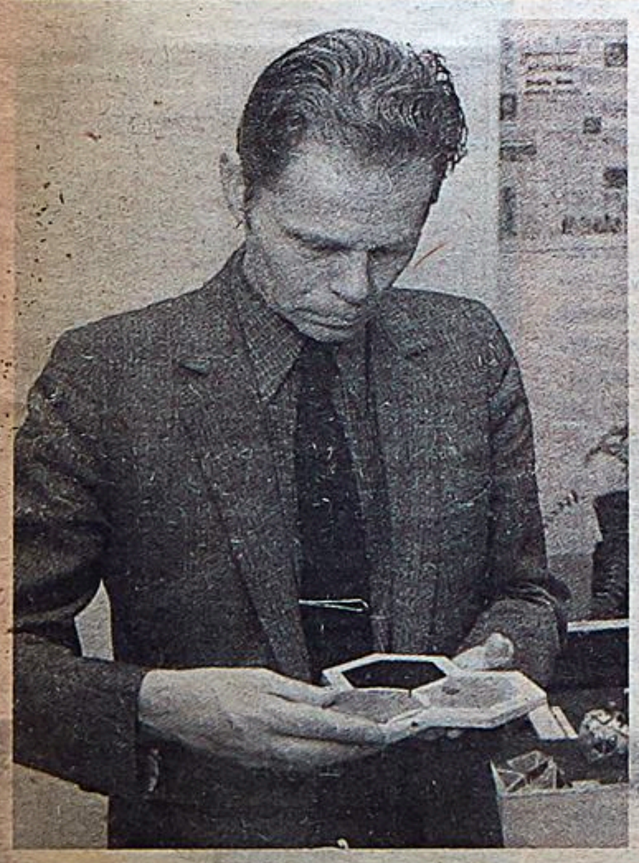

Dyrektor Muzeum Techniki Jerzy Jasiuk, podczas układania jednej z gier Fot. **M. Szymański**

Dziś na stronie 4 rozwiązanie konkursu CZY ZNASZ SWÓJ KRAJ

MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA ZDROWIA poleca ziołolecznictwo

(PAP). Podczas zakończonego ostatnio międzynarodowego sympozjum w Wiedniu poinformowano o działaniach Międzynarodowej Organizacji Zdrowia przy ONZ, popularyzujących ziołolecznictwo. Na razie MOZ udziela pomocy w tworzeniu działających na całym świecie 20 ośrodków informacji naukowej o możliwościach wykorzystania ziół w lecznictwie.

Pierwszy taki ośrodek pod nazwą „Napralert" działa już w Chicago. W czynnym już banku informacji zakodowano 130 mln haseł wybranych z pół miliona artykułów opublikowanych na całym świecie w 50 tys. czasopism naukowych. W najbliższej przyszłości dane ośrodka będą dostępne również w Europie. Ukaże się również pierwszy, najobszerniejszy chyba z dotychczas wydanych, wielotomowy rejestr zgromadzonych informacji. **(jo)**

ARCHEOLODZY NA TROPACH „PSÓW LAWINOWYCH"

(PAP). 2500 osób – zabłąkanych wędrowców lub zasypanych lawinami śnieżnymi podróżników – uratowały słynne psy z przełęczy Świętego Bernarda w Alpach. Psy – bernardyny, spełniające od średniowiecza służbę ratunkowaą na tym trudnym szlaku alpejskim, przeszły do legendy.

Na podstawie rysunków skalnych i legend różnych ludów archeolodzy spróbowali odtworzyć rodowód tych dzielnych zwierząt.

Bernardyny wywodzą się z Azji. Ich przodkiem jest czarny wilk tybetański przyzwyczajony do życia w warunkach wysokogórskich. Po skrzyżowaniu go z dogiem azjatyckim powstała rasa psów pasterskich, które pilnowały stad i chroniły karawany. Psy trafiły do Europy, gdzie były krzyżowane z różnymi odmianami południowych psów pasterskich z Półwyspu Bałkańskiego. Wielkimi psami zainteresowali się Rzymianie. Hodowali je i tresowali specjalnie do pilnowania taborów i obozów. Wykorzystywali je szczególnie w czasie kampanii wojennych, oraz na terenach górskich. W ten sposób rozpowszechniły się w Alpach. Później zainteresowali się nimi zakonnicy z przełęczy Świętego Bernarda. Prowadząc różnorodne zabiegi hodowlane, a także treningi uzyskali rasę psów ratowniczych. Psy z przełęczy Świętego Bernarda są dziś wykorzystywane nie tylko w ratownictwie górskim, ale również do poszukiwania ludzi zasypanych w czasie trzęsień ziemi. Bernardyny uratowały w 1965 r. podczas trzęsienia ziemi w Chile kilkudziesięciu ludzi uwięzionych pod gruzami w zniszczonym miasteczku.

(jo)

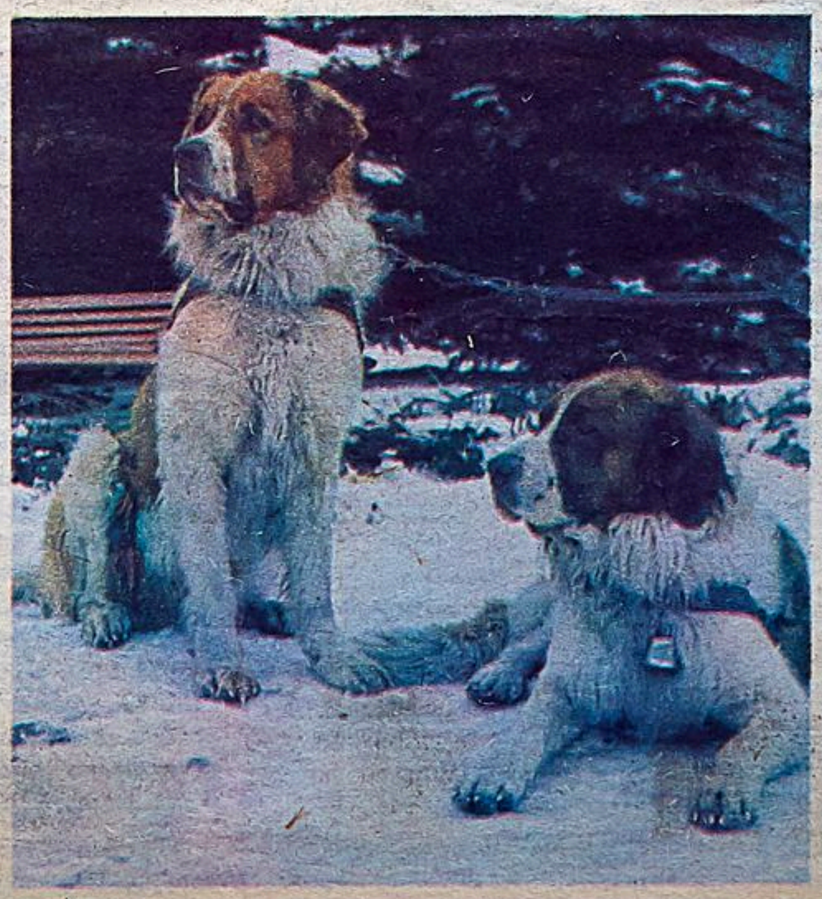

Fot. **M. Żbikowski**

Łzy, których nikt nie zobaczy

To, co piszę, chcę skierować do tych, którzy zwątpili, że kiedykolwiek znajdą prawdziwego przyjaciela oraz do tych, którzy pomogli mi przeżyć minione wakacje – najtrudniejszy okres w moim życiu.

Koniec roku szkolnego. Wspaniałe świadectwo. Złota tarcza. Ogromna radość na twarzach rodziców. Niedziela, 4 lipca i wyjazd naszą syrenką do Olsztyna. Deszcz, okropny złowieszczy deszcz. Wykrzyczana piosenka „Jesteśmy jagódki"... i ten zakręt. Naprężona sylwetka Tatusia. Zaskakująca cisza. Krzyk Tatusia: „O Jezu!". Huk! I znowu ta okropna, niewzruszona niczym cisza zmieszana z zapachem spłukanej deszczem trawy. Boję się otworzyć oczy. Snop światła wciska mi się pod powieki. Oszałamiający widok. Deszcz już nie pada. Zdaję sobie sprawę z tego, co się stało, ale czy wszyscy żyją?!!

Nie, nie mogę płakać! Muszę być dzielna! Dlaczego ci ludzie stoją jak słuby? Dlaczego te kobiety histerycznie płaczą?!! Dlaczego mężczyźni nie chcą mi pomóc?! Przecież mam apteczkę... uczyłam się udzielać pierwszej pomocy... Nareszcie jakiś mądry taksówkarz organizuje podniesienie samochodu. Ulga. Mamusia żyje! Brat i chłopiec, którego odwoziliśmy, płacząc stoją na ulicy... Ale dlaczego nikt nic nie mówi o Tatusiu?!!

Rozmowa z lekarzem. Tatuś nie żyje! Mamusia...? będzie żyła! Teraz mogę sobie pozwolić na łzy. Takie cichutkie, bezradne... W skroniach huczą mi komunikaty: „Na drodze takiej i takiej wypadek. Jedna ofiara śmiertelna..." I jeszcze ten rozrywający myśli sygnał karetki pogotowia. To straszne!!!

Nareszcie przywieziono do naszego szpitala Mamusię. Czuje się coraz lepiej. Wciąż świergoczę, ażeby rozweselić Mamę, a co za tym idzie całą salę. Szkoda, że Grzesio, mój brat, leży w innym niż my szpitalu.

Na duchu podnoszą mnie odwiedziny. Właściwie żyję od wizyty do wizyty. Ci, którzy odważyli się przyjść, przynoszą mi oprócz owoców, słodyczy i nowinek, ciepłe, przyjacielskie spojrzenia. Tak, nie litość, nie wymuszony, sztywny uśmiech, lecz zwyczajną, szczerą bezpośredniość. Za to właśnie wszystkim, którzy odwiedzali mnie w szpitalu lub potem w domu serdecznie dziękuję. Dlaczego chcę to uczynić na łamach naszej harcerskiej gazety? Przynajmniej nikt nie zobaczy moich oczu, które zawsze napełniają się łzami na wspomnienie 4 lipca 1982 r.

Ania Bliźniuk

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

Wyślę receptę na wyleczenie się z miłości

Jestem uczennicą I kl. LO i stałą czytelniczką „RP". Zauważyłam, że duża część zamieszczonych w niej listów jest od ludzi załamanych i rozczarowanych z powodu swojej ostatniej miłości. Jeszcze niedawno sama byłam zrozpaczona z tej samej przyczyny. Zastosowałam sobie jednak kurację, której celem było „wyleczenie" się z miłości. W tej chwili czuję się zupełnie „zdrowa" i bardzo chętnie wyślę receptę każdemu, kto jej potrzebuje. Proszę więc o listy. Mam przy tym nadzieję, że wspólne kłopoty pozwolą mi zaprzyjaźnić się z kimś, chociażby listownie.

Beata Mirecka

Chciałabym poznać całą Polskę

Mam 9 lat. Niewiele jeszcze podróżuję, a chciałabym poznać całą Polskę. Pragnę nawiązać korespondencję z koleżankami i kolegami z całego kraju. Wszystkim, którzy przyślą mi widokówkę ze swojej miejscowości obiecuję ładną, kolorową pocztówkę z Warszawy.

Judyta Michalska

Na meczach zawsze bronię bramki

Interesuję się wszystkim po trochu, ale najbardziej piłką nożną. Sport ten uprawiam, a na meczach zawsze bronię bramki. Zbieram zdjęcia piłkarzy, widokówki i monety. Pragnę nawiązać korespondencję z czytelnikami o podobnych zainteresowaniach.

Joanna Kubielas

Poezja to moja namiętność

Czytam bardzo dużo. Mam 15 lat, ciemne, krótkie włosy i zielone oczy. Interesuję się końmi, zbieram fotosy aktorów i czytam poezję. Moi ulubieni poeci to: A. Mickiewicz, J. Kochanowski, Cz. Miłosz, A. Asnyk. Jestem romantyczna i bardzo lubię marzyć. Czekam na listy od rówieśników.

Jolanta Stachura

Obycie ułatwia życie lub jak sobie radzić

TEN OKROPNY, ZWISAJĄCY TŁUSZCZ...

Mam czternaście lat i jestem zrozpaczona, ważę bowiem ponad 60 kg. Stanowczo za dużo jak na mój wzrost (152 cm). Twarz mam nawet ładną, lecz cała reszta to okropny, zwisający tłuszcz. Kupuję różne czasopisma, aby zaczerpnąć informacje o takim odchudzaniu się, które, nie wpłynęłoby ujemnie na mój rozwój fizyczny. Wszędzie czytam o uprawianiu gimnastyki, lecz nie lubię się gimnastykować. Może są inne sposoby pozbycia się nadwagi?

Przez tę okropną otyłość nie mogę znaleźć sobie chłopaka. Wszyscy chłopcy są chudsi ode mnie. Inne, brzydsze ode mnie dziewczyny mają swoich chłopaków, a ja jestem sama i nieszczęśliwa.

Grazia

Nadmierna waga często pojawia się w okresie wzmożonego rozwoju organizmu. Wszystkie procesy biologiczne przebiegają wtedy bardzo burzliwie i dynamicznie. Dlatego najczęściej właśnie w wieku czternastu, piętnastu lat chłopcy i dziewczęta wyglądają trochę jakby ich posklejano z różnych, nie pasujących elementów. Zbyt długie ręce w stosunku do ciała, duże stopy, nadmierna lub zbyt mała waga ciała, pryszcze, przetłuszczone włosy, to te i inne „nieszczęścia" związane z zewnętrznym wyglądem. Jeżeli jest to wada związana z rozwojem, nie trzeba z nią walczyć, bowiem sama z czasem ustąpi. By się o tym jednak upewnić, należy bezwzględnie zasięgnąć rady lekarza. Jeżeli jeszcze tego nie zrobiłaś, powinnaś to jak najprędzej uczynić, gdyż nadwagę mogą również powodować powikłania chorobowe.

Skoro jednak dowiesz się, że Twój wygląd „zawdzięczasz" na przykład nadmiernemu dogadzaniu swojemu apetytowi, to należy rozsądnie zacząć walczyć z nałogiem jedzenia posiłków tuczących. Przede wszystkim ogranicz potrawy mączne, a więc pieczywo, makaron, różnego rodzaju placki i ciasta, w tym także słodycze. Powinnaś unikać niektórych rodzajów tłuszczów, takich jak np. smalec. Lepiej zastąpić je delikatniejszymi – olejem, masłem lub margaryną. Na kolację wypijaj tylko szklankę mleka, albo sok z warzyw lub owoców. No i oczywiście dużo biegaj, graj w piłkę, spaceruj, pracuj na działce. Piszesz, że nie lubisz się gimnastykować. Zastanów się więc, czy to także nie jest przyczyną Twojego obecnego wyglądu? Gimnastyka polega przecież nie tylko na kilku ruchach rękoma czy nogami. Należy ją uprawiać czynnie, na świeżym powietrzu i nie zrażać się zmęczeniem. Wysiłek trzeba dawkować rozsądnie, by nie obciążać nadmiernie serca i układu oddechowego.

Tych kilka rad nie jest oczywiście receptą na natychmiastowy sukces w kontaktach koleżeńskich. Sądzisz, że nadwaga pozbawiła Cię możliwości posiadania własnego chłopaka i przede wszystkim dlatego chcesz uwolnić się od tego „okropnego, zwisającego tłuszczu". Jest to naturalne i zrozumiałe, że chcesz wyglądać tak jak większość dziewcząt, gdyż wyróżnianie się otyłością nie należy na pewno do przyjemności.

Z drugiej jednak strony zastanów się, czy nie przywiązujesz zbyt wiele wagi do rzeczy i spraw, które nie są wcale najważniejsze. Niektórzy ludzie skłonni są przeceniać znaczenie zewnętrznego wyglądu i cech urody, którą uważają za największą wartość. Tymczasem wcale nie to, jaki człowiek ma nos, kolor oczu, sposób poruszania się czy mówienia świadczy o jego wartości. Piękno odnosi się nie tylko do ciała, lecz także do wartości duchowych. Już Grecy wychowując młodzież dążyli do osiągnięcia harmonii pomiędzy rozwojem umysłowym i fizycznym. Piękno ciała cenili zatem na równi z rozumem. Nasza kultura wywodzi się z tych wspaniałych, greckich tradycji. Korzystaj więc z nich i nie rozpaczaj nad niedostatkami urody. Jeśli koniecznie chcesz mieć swojego chłopca, możesz to osiągnąć nie tylko intensywnymi ćwiczeniami, lecz przede wszystkim poprzez rozwijanie wartości, które nie ważą nic, a jednak są równie ważne.

CO ZROBIĆ Z NIEODWZAJEMNIONYM UCZUCIEM?

Wiem, że nic mi nie poradzicie. Proszę tylko o zrozumienie. Niedługo skończę piętnaście lat. Dziewczynę, która jest dla mnie wszystkim, poznałam a właściwie po raz pierwszy zobaczyłem podczas wakacji zeszłego roku. Od razu spodobała mi się, lecz nie mogę powiedzieć, żebym ją już wtedy pokochał. Teraz wszystko się zmieniło – naprawdę zakochałem się w niej i to... beznadziejnie, ponieważ ona kocha innego. Nie wiem co mam zrobić. Wątpię abyście znaleźli jakąś radę. Stać Was pewnie tylko na takie słowa: „Nie myśl o niej, unikaj jej" itp.

Od pewnego czasu rzeczywiście unikam jej. Nie wiem co mam zrobić, żeby pokazać jej zainteresowanie i miłość Proszę o wydrukowanie tego listu. Może wtedy zrozumie, że ją kocham i będe kochał.

Andrzej

Cóż począć z nieodwzajemnionym uczuciem? Wielu z Was zadaje sobie to pytanie i prosi o pomoc i radę. Najboleśniej bowiem odczuwamy samotność, gdy nie znajdujemy zrozumienia i wzajemności u kogoś, kogo kochamy.

Nie na próżno jednak nazywamy się dumnie istotami myślącymi. Przemyśl więc, przeanalizuj wszystkie fakty, możliwości i szanse, a potem zacznij działać. Poddawanie się pesymizmowi, ucieczka w samotność czy rozpacz, to nie jest rozwiązanie, które może przynieść jakiekolwiek korzyści.

Ty, Andrzeju, piszesz, że kochasz tę dziewczynę i będziesz ją kochał. Jeżeli jesteś tego tak bardzo pewien, nie możesz pozostawić swoich uczuć na łasce bądź niełasce losu. Twoja ukochana nie zauważa Cię, bo po pierwsze ma swojego chłopca. Po drugie, jakże ma Cię zauważyć, skoro unikasz spotkań z nią?

Nasza obyczajowość nakazuje dziewczynie zachowywać bierną postawę wobec chłopca. To on ma przejmować inicjatywę i walczyć o partnerkę i jej zainteresowanie. Jeśli więc dojrzałeś do tego, by udźwignąć ciężar odpowiedzialności za swoje uczucia i postępowanie, nie powinieneś unikać ukochanej, lecz powodować takie sytuacje, abyście mogli być razem. Można przecież spróbować zaprosić ją na spacer czy do kina.

Każde przedsięwzięcie wymaga jednakże od Ciebie dużej delikatności i taktu. Bądź rozsądny i konsekwentny. Może wtedy uda Ci się zrealizować marzenia? My oczywiście nie umiemy przewidzieć czy powiedzie Ci się i czy nasze rady poskutkują. Weź to pod uwagę, Andrzeju.

ELŻBIETA SIDORKIEWICZ

REDAKCYJNA POCZTA

Kocham życie

Piszę do Was, bo chciałabym podzielić się z Wami swoimi... radościami życia. Nie będę pisała o nieudanych flirtach, fałszywych przyjaciołach ani też o gnębiących mnie kłopotach. Chcę napisać, że po prostu kocham życie! Wiem, że nie jest ono „usłane różami", ale nie można wiecznie żalić się i narzekać. Mam jedną najlepszą i wiele innych, również wspaniałych, przyjaciółek, kochaną siostrę i dobrych rodziców. Poza tym w szkole jestem wesołą i „klawą" (opinia kolegów i koleżanek) dziewczyną. Piszę wiersze, opowiadania, ale co najważniejsze umiem cieszyć się życiem i kocham moją ojczyznę. Chciałabym coś dla niej zrobić i na pewno to uczynię.

Lidka z Wilczyna

O kulturę wysławiania się

Chciałabym napisać o dość drażliwej sprawie istniejącej w naszej szkole. Wciąż mówi się o kulturze słowa młodzieży. Owszem, jest ona w opłakanym stanie, przykładów nie trzeba szukać daleko. Ale i dorośli nie zawsze potrafią zachować umiar i takt. Cóż bowiem powiedzieć o nauczycielu, który stwierdza, że z chłopców będą ludzie, a z dziewczyn zwykłe „garnkomyje" i gęsi? Aż wstyd powtarzać niektóre wyrażenia, ale taka jest prawda. Żadnej z dziewcząt nie imponują przecież takie „komplementy". Często jednak wysłuchujemy podobnych uwag z ust nauczycieli – mężczyzn.

Kobra

Dziewczęta, przeczytajcie moją radę

Jestem uczennicą klasy VIa. Od półrocza IV klasy zbieram „Świat Młodych". Mam każdy numer. Interesuję się szczególnie drugą stroną gazety. W listach koleżanek ileż jest płaczu, załamań, zatroskań i utyskiwań, że nie mają chłopców. Otóż posłuchajcie: już wielu kolegów pytało mnie, czy chcę z nimi chodzić. Moja odpowiedź brzmiała, brzmi i będzie brzmiała: nie. Wydaje mi się, że dobrze czynię, dzięki temu mam dla siebie wolne chwile, a po drugie na chodzenie mam jeszcze czas. Całe ciekawe życie mam przed sobą, nie wylewam łez w poduszkę, jak to robią inne dziewczyny. Gdybym się zgadzała z tymi propozycjami, to zdaje mi się, że miałabym nudne życie. Radzę Wam, dziewczęta, spróbujcie mojej rady i wszystko się samo ułoży. Zajmijcie się czymś innym, a Wasze życie stanie się ciekawsze.

„Mała Kaśka" z Ciechanowa

REDAKCJA ODPOWIADA: Radosław Maciejewski, lat 14 z Poznania – napisałeś taki piękny list o ratowaniu przez lekarzy zdrowia Twojej 7-letniej siostrzyczki, Adrianki. Nie podałeś przy tym adresu. List traktujemy więc jako anonim i dlatego go nie wydrukujemy. Jeśli szybko naprawisz swój błąd, lub może przeoczenie – korespondencję zamieścimy. A zatem – czekamy na list z dokładnym adresem. Izabela Bronikowska z Gdańska – podaj adres, tylko pod tym warunkiem będziemy mogli Ci pomóc.

(bs)

Na mapie świata

- **Powstało ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH**
- **Co dziesiąty szuka pracy**
- **Czy nastąpi odwilż na linii Waszyngton – Moskwa?**

Późnym wieczorem 21 listopada br., po bardzo burzliwych obradach zakończył się w Warszawie założycielski kongres nowego związku studenckiego – Zrzeszenie Studentów Polskich. W uchwalonym statucie ZSP czytamy, że zrzeszenie jest społeczno-zawodową, samodzielną organizacją polskiej młodzieży akademickiej, otwartą dla osób o różnych światopoglądach. Skupia ono swych członków w celu wspólnej obrony ich interesów, rozwoju zainteresowań i osobowości oraz udziału w życiu społeczno-politycznym. W statucie znalazł się również zapis o działalności nowej organizacji zgodnej z Konstytucją PRL i uznaniu PZPR za przewodnią siłę polityczną w budowie socjalizmu w Polsce. Członkiem zrzeszenia może zostać obywatel PRL – student, który akceptuje deklarację i statut organizacji. Najwyższą władzą ZSP jest Kongres zwoływany co 2 lata. W okresie między kongresami – Rada Naczelna ZSP wyłaniająca spośród siebie komitet wykonawczy. Na okres 2 lat wybiera się także Naczelny Sąd Koleżeński.

Ważnym celem ZSP ma być walka o tanie studia, tanie podręczniki, sprawy socjalne środowiska, zatrudnienie... Organizacja będzie sprawować mecenat nad klubami kulturalnymi stwarzając warunki dla realizacji twórczych zamierzeń młodzieży akademickiej.

Charakteryzując program nowej organizacji Andrzej Orecki z Krakowa powiedział m.in.: *„Nasz program ma jeden niezaprzeczalny atut – jest programem pozytywnym. Chcemy budować – a nie burzyć, chcemy tworzyć – a nie rozbijać, chcemy jednoczyć – a nie dzielić. To być może niewiele ale w aktualnej sytuacji, jednak bardzo dużo".*

W połowie listopada br. na wspólną naradę zebrało się w Brukseli aż 30 ministrów – gospodarki, finansów i spraw socjalnych – z krajów EWG, czyli zachodnioeuropejskiej wspólnoty gospodarczej. Celem tego spotkania było rozważenie możliwości powstrzymywania ciągłego wzrostu bezrobocia. Analogiczna konferencja odbyła się po raz pierwszy w czerwcu 1981 r. Od tamtego czasu sytuacja nie tylko nie polepszyła się, ale wprost przeciwnie, kolejne 2 miliony osób powiększyło rzesze bezrobotnych. Obecnie aż 11,2 mln poszukuje pracy, jest to ponad 10 proc. ludności czynnej zawodowo. Praktycznie więc efekty licznych konferencji organów EWG na temat walki z bezrobociem są znikome. Przyczyną tego niepokojącego stanu jest światowy kryzys gospodarczy. Perspektywy na przyszłość, przynajmniej do roku 1985, nie są obiecujące. W tym czasie bowiem rynek pracy będzie wzrastał o około milion bezrobotnych rocznie w tym głównie ludzi młodych, absolwentów różnych szkół. Już dziś młodzież (do 25 lat) stanowi 40 proc. poszukujących pracy.

Czy ministrowie znaleźli jakieś wyjście z tej trudnej sytuacji? Ratunkiem może być: po pierwsze – powiększenie liczby miejsc pracy poprzez rozwijanie nowych inwestycji i po drugie – reorganizacja czasu pracy. Ten pierwszy warunek jest raczej problematyczny, zależy bowiem od wzrostu koniunktury gospodarczej, a na to się przecież nie zanosi. Warunek drugi polegać ma na skracaniu czasu pracy, co w efekcie ma przynieść ileś tam nowych stanowisk pracy. Ta operacja może być zrealizowana tylko przy jednoczesnym obniżeniu płac. Ale na to nie zgadza się Europejska Konfederacja Związków Zawodowych, z natury swojej stojąca na straży interesów pracowniczych. Rozwiązania więc, jak na razie, nie widać.

Od chwili wyboru Jurija Andropowa na sekretarza generalnego KC KPZR i przeprowadzeniu przez niego rozmów z przebywającymi na pogrzebie Leonida Breżniewa – wiceprezydentem USA Georgem Bushem i sekretarzem stanu Georgem Shultzem w prasie amerykańskiej – i nie tylko – nie ustają spekulacje na temat przyszłości stosunków dwóch supermocarstw. Gazeta „International Herald Tribune" z 13–14 XI br. zauważa w wypowiedziach przywódców ZSRR i USA oznaki pojednania. *„Jak dotychczas* – pisze „IHT" – *podejście administracji Reagana do Związku Radzieckiego charakteryzowało się jednolitą wrogością... Zapoczątkował on* (prezydent) *olbrzymią rozbudowę potencjału militarnego z przekonaniem, że Stany Zjednoczone mogą zmusić Rosjan do wydania ostatnich rezerw gotówki. Przeciwko Związkowi Radzieckiemu zastosowano sankcje gospodarcze. Wywierano także naciski na zachodnich Europejczyków i Japończyków, aby zastosowali sankcje w celu złagodzenia postępowania komunistów w Polsce. Każdy z tych nacisków – jak się okazało – miał swe ograniczenia. Ofensywa ideologiczna Ronalda Reagana wielu ludziom w świecie komunistycznym i poza nim wydała się prymitywna".* Dalej gazeta ubolewa, że sojusznicy USA w Europie Zachodniej nie chcieli poprzeć polityki sankcji gospodarczych i politycznych wobec Wschodu, co spowodowało fiasko całej koncepcji.

Dziś jeszcze za wcześnie mówić o zmianie kierunku polityki światowej Stanów Zjednoczonych, zmierzającej nieuchronnie do konfrontacji. Coś jednak drgnęło na lepsze we wzajemnych stosunkach USA–ZSRR. Miejmy nadzieję, że jest to objaw trwały.

★ ★ ★

● W Warszawie rozpoczęła obrady 22 listopada br. trzydniowa sesja naukowa z okazji stulecia polskiego ruchu robotniczego pod hasłem: **„Polska klasa robotnicza i ruch robotniczy w najnowszych dziejach Polski"**. W sesji wzięło udział ponad 300 historyków i działaczy politycznych oraz zaproszonych gości z krajów socjalistycznych.

● Komunikat Głównego Urzędu Statystycznego o sytuacji gospodarczej w październiku br. jest już trzecim optymistycznym doniesieniem w tym roku. Otóż od trzech miesięcy następuje niewielki, ale stały wzrost produkcji przemysłowej w naszym kraju.

● Na froncie irańsko-irackim walki nie ustają, a w listopadzie przybrały one nawet na gwałtowności. To samo dzieje się na drugiej półkuli w Salwadorze. Mimo iż wojska reżimowe wspierane są stałymi dostawami broni amerykańskiej, siły partyzanckie Frontu Wyzwolenia Narodowego im. Farabundo Marti (FMLN) nic nie tracą na swej popularności w masach ludowych.

ST. BOROWIECKI

HAGIA SOPHIA

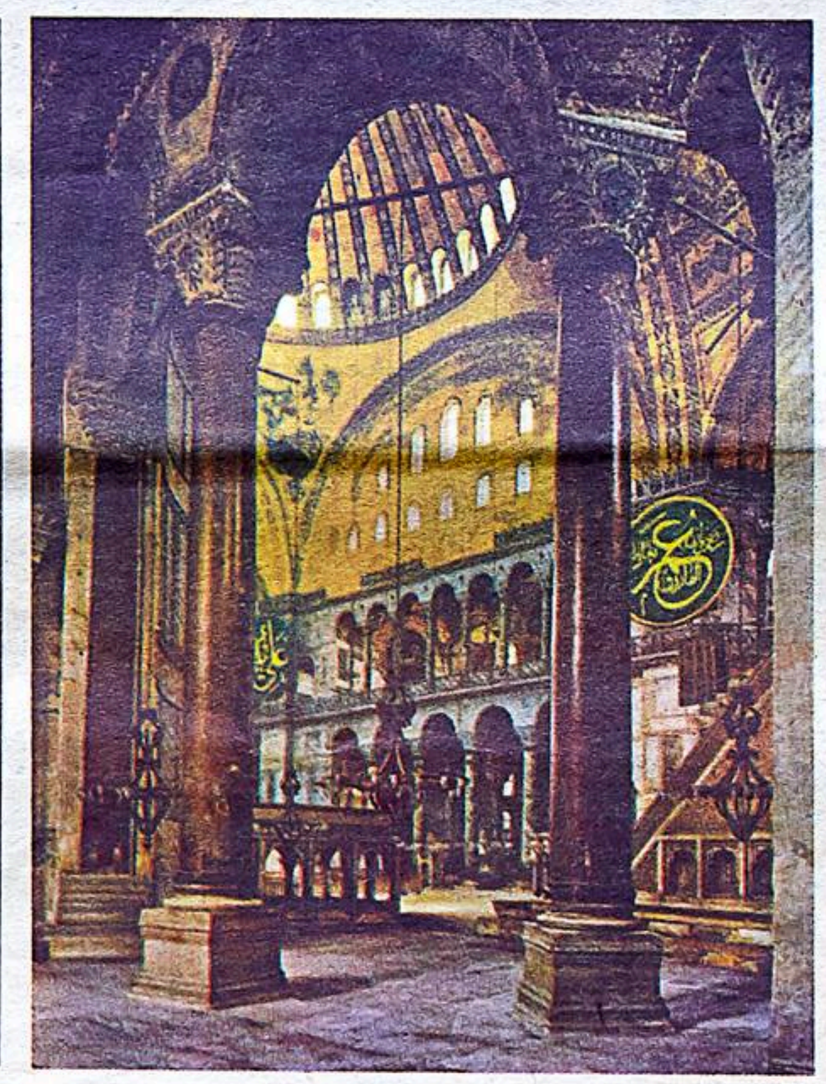

Hagia Sophia jako meczet; widoczne zrabowane z antycznych miast kolumny, na galerii było miejsce modlitwy dla kobiet

Hagia Sophia, czy Aja Sophia, lub zgodnie z polską wymową Aja Sofia, nigdy nie była zaliczana do cudów świata antycznego. Nie była jednym z siedmiu cudów świata z bardzo prostego powodu. Zbudowano ją późno, kiedy liczba „cudownych" miejsc urosła do setek, a ilość pięknych budowli wartych obejrzenia przekraczała możliwości niejednego śmiałka. Wzniósł ją w latach 532–537 na chwałę „Mądrości Bożej" (po grecku sophii) ostatni z cesarzy panujących nad olbrzymim imperium rzymskim. Nie był to żaden z władców Rzymu, który upadał już wówczas wtopiony w któreś z królestw Gotów, ale władca greckiego wschodu, potężny cesarz Justynian (525–567). Jemu to ostatni raz udało się zjednoczyć imperium i to także na krótki okres. Ale dłużej, dużo dłużej niż imperium przetrwały dzieła budowlane Justyniana.

W siódmym roku panowania cesarza stolicą imperium, przepięknym Konstantynopolem, wstrząsnęła rebelia zwana „Nika" (po grecku: zwyciężaj). Nie było to nic nowego w dziejach cesarstwa, które radziło sobie doskonale z wrogami zewnętrznymi, ale nie mogło poradzić sobie ze zwalczającymi się ugrupowaniami kibiców wyścigów konnych. Wyścigi te odbywały się na dużym hipodromie upiększonym wielkimi aleksandryjskimi obeliskami z dalekiego Egiptu. Kilkadziesiąt metrów dalej, przy drodze do pałacu cesarskiego leżała nieduża świątynia-kościół świętej Zofii.

Ale wróćmy do historii... Początek rebelii nikogo nie zdziwił, był taki jak zawsze. Zaczęło się na stadionie, gdzie niezadowoleni z wyniku wyścigów kibice urządzili najpierw tumult, aby potem przejść do walk ulicznych. Kiedy jednak cesarz ujął prowodyrów zajść z obu frakcji, „niebieskich" i „zielonych", i wydał ich w ręce katów, nienawiść mieszkańców stolicy obróciła się przeciw niemu. Żądne odwetu, zemsty i krwi tłumy rozpoczęły dzieło śmierci i zniszczenia. Tysiące Greków, Słowian, Azjatów, Armeńczyków, Syryjczyków, Żydów, Bułgarów, Skandynawów, Persów wyległy na ulice, aby grabić i niszczyć. Pałace dostojników i bogatych kupców stanęły w płomieniach. Oni sami schronili się w pałacu cesarskim, aby tam przetrwać pod osłoną gwardii lub umrzeć wraz z cesarzem i jego małżonką Teodorą.

Zniszczenia dosięgły dzielnicy cesarskiej; spłonął także mały, stary kościół świętej Zofii, którego tereny przylegały do pałacu, ale leżały także w pobliżu hipodromu, centralnego punktu rebelii.

Piątego dnia zamieszek na zgromadzonych na hipodromie rebeliantów uderzył niespodziewanie wódz, Justyniana Belizariusz. W tym dniu dla wielu ludzi słońce zachodziło zbyt wolno i bardzo, bardzo krwawo. Na arenie pozostało trzydzieści tysięcy mieszkańców największego wówczas miasta świata.

Aby zapełnić puste pogorzelisko w pobliżu pałacu, a jednocześnie pokazać ogrom władzy monarszej, aby przebłagać ludność Konstantynopola, może także po to aby uwiecznić w inny, mniej okrutny i tragiczny sposób swe imię, Justynian podjął budowę najwspanialszej i największej świątyni, kościoła Mądrości Bożej – Hagia Sophia. Powołał on dwóch znakomitych architektów: Isidorosa z Miletu i wsławionego konstruowaniem maszyn Anthemiosa z Tralles. Mieli oni wznieść i ozdobić świątynię przewyższającą dotychczasowe dzieła, godną swej nazwy i godną cesarza...

Nowa świątynia miała być nie tylko domem bóstwa, ale również gromadzić wiernych na wspólne modlitwy. Jej główna, dużej wielkości i wysokości kopuła wsparta na 2 półkopułach przykrywała centralną część kościoła o kształcie kwadratu, o boku 36 m. Cała konstrukcja opierała się na półkolistych przyporach. Wnętrze świątyni dzieliły na nawy i podpierały sklepienie kolumny zrabowane ze świątyń Aten, Efezu i Baalbek. Ze ścian i sufitów kościoła spoglądały na wiernych twarze świętych, ubranych w szaty prawie kapiące od złota, zachwycające przepychem barw i bogactwem tonów. Piękne mozaiki przedstawiały św. Zofię, Matkę Boską z Dzieciątkiem, świętych kościoła bizantyńskiego.

Antemios i Izydor dokonali tego, o czym marzył Justynian. Wznieśli najokazalszą i najpiękniejszą budowlę świata, unieśmiertelnili swe imiona i imię cesarza na wieki.

Ale w 558 roku zdawało się już, że kaprys natury zniszczy wielkie dzieło. Trzęsienie ziemi naruszyło konstrukcję Świętej Zofii. Z pomocą pospieszył wówczas Isidoros Młodszy, wnuk wielkiego architekta, który rozebrał pierwotną kopułę i zastąpił ją nową, wyższą.

I znowu Hagia Sophia wprawiała przybywających do Konstantynopola w zachwyt, świadcząc o wielkości cesarstwa bizantyńskiego i świetności religii chrześcijańskiej.

Kiedy w 987 roku zmęczony wędrówkami po krajach europejskich potężny książę kijowski Włodzimierz wysłał do Konstantynopola swoich posłów, aby zbadali jak wyglądają nabożeństwa i obyczaje kościoła bizantyńskiego, oczarowały ich blask i rytuał tego obrządku, tajemnicze śpiewy w przepięknej scenerii olbrzymiej świątyni. Tak opowiedzieli swemu księciu po powrocie:

„... I przyszliśmy na ziemię Greków, i poprowadzili nas tam, gdzie oni służą swemu Bogu i nie wiedzieliśmy czy jesteśmy w niebie, czy na ziemi, bo nie ma na ziemi takich wspaniałości i nie wiemy jak o tym opowiedzieć..."

Widocznie jednak wiedzieli, skoro groźny Rusin nie tylko odprawił 800 swoich nałożnic, ale od tej pory pobożnością swoją stanowił wzór dla poddanych.

Nie tylko na posłach z dalekiej Rusi wywarła Hagia Sophia tak wielkie wrażenie. Wszyscy podróżnicy byli zachwyceni jej ogromem i potęgą. Lecz piękno i bogactwa Konstantynopola skusiły dziwnych, bo mieniących się obrońcami wiary i Chrystusa ludzi, uczestników IV krucjaty. Ci „krzyżowcy" podjudzeni przez dożę Wenecji, Dandolo, 8 kwietnia 1204 roku zaatakowali i zdobyli Konstantynopol. Ofiarą grabieży padło całe miasto, niedoszli „rycerze krzyża" rabowali domy i kościoły. Gwałty i morderstwa na ludności zostały z góry odpuszczone przez towarzyszących krucjacie mnichów. Jeden z nich, franciszkanin Marcin zapoczątkował nowy rodzaj grabieży – rozkradł relikwie z jednego z kościołów.

Ogólna grabież nie oszczędziła świątyni Mądrości Bożej – kościoła świętej Zofii. Ciemni mnisi i prowadzeni przez nich „krzyżowcy" rozbijali monstrancje, kradli złoto i srebro, święte obrazy walały się po podłodze, złote kielichy mszalne posłużyły w pijackiej orgii jaką urządzili w Aji Sofii żołdacy i „rycerze krzyżowi".

Dwa i pół wieku później Konstantynopol przeżywał kolejne oblężenie. Tym razem napastnikami byli Turcy, prowadzeni przez sułtana Mohammeda II. Odrodzone cesarstwo bizantyńskie nie wspomagane przez żaden z krajów chrześcijańskich nie oparło się Turkom. I zdawać by się mogło, że ten najeźdźca będzie gorszy od poprzednich. Lecz Turcy oszczędzili miasto i jego świątynie, a zniszczenia tym razem nie były tak duże.

Jedyne co Turcy zrobili przystosowując Hagia Sophia do funkcji meczetu, to zasłonięcie wszystkich wizerunków, zgodnie z zasadami Islamu. Jako budowla reprezentacyjna i główny meczet służyła święta Zofia do roku 1934. Siedem wieków modlono się tu pochylając głowy w kierunku Mekki. Tutaj odbywały się główne uroczystości religijne państwa, którego władca był głową i zwierzchnikiem religijnym.

Od 1934 roku Hagia Sophia jest muzeum, ale w tym cichym, przepojonym atmosferą tajemniczości wnętrzu jest jakiś religijny urok zmuszający do zastanowienia, wejrzenia na moment w siebie. Ze ścian znów spoglądają wizerunki Matki Boskiej i św. Zofii, brak tylko zrabowanych sprzętów religijnych. Wycieczki, którym przewodnicy opowiadają szeptem barwną historię bazyliki, nie zakłócają spokoju i ciszy panujących w tym miejscu, jednym z „cudów" współczesnego świata. Hagia Sophia trwa na chwałę... człowieka i jego genialnej myśli.

MIROSŁAW KIELAK
Fot. **archiwum**

Świątynia Mądrości Bożej Hagia Sophia – Aja Sofia

„GDY SIĘ KTOŚ ZACZYTA, ZAWSZE ALBO SIĘ CZEGOŚ NAUCZY, ALBO ZAPOMNI O TYM, CO MU DOLEGA, ALBO ZAŚNIE – W KAŻDYM RAZIE WYGRA".
(Henryk Sienkiewicz)

Tak się dziwnie układają zainteresowania nas, Polaków, że historia jawi się nam najczęściej jako nieprzerwany ciąg okrutnych wojen, bohaterskich żołnierskich czynów, politycznych rozgrywek. O tym lubimy czytać, to nas fascynuje naprawdę. I to niezależnie czy dotyczy dziejów naszego narodu, czy też opisuje wydarzenia będące udziałem innych społeczeństw.

A przecież na bieg historii – zarówno całej ludzkości, jak i na losy poszczególnych państw – miały i mają nadal wpływ nie tylko wydarzenia rozgrywające się w bitewnym zgiełku czy w zaciszu gabinetów, gdzie urzędują politycy. Tę historię kształtują również działacze gospodarczy, bezimienne często rzesze wynalazców, konstruktorów, budowniczych, rolników, żeglarzy, uczonych... Ich nazwiska są często zupełnie nieznane, a jedynym śladem dzieła całego życia niejednego z nich bywają najczęściej krótkie wzmianki w encyklopedii.

Znakomity popularyzator tych właśnie mało znanych, a często nieprawdopodobnych wydarzeń z dziejów nauki i techniki, Bolesław Orłowski, wydał ostatnio książkę im poświęconą. Ci, którzy czytają „Młodego Technika" znajdą w niej niektóre z felietonów zamieszczanych na łamach tego pisma w latach 1970–1973. I mogę z czystym sumieniem zaświadczyć, iż w każdym z 55 rozdziałów tej fascynującej książki – aż roi się od sensacji w najlepszym tego słowa znaczeniu. Będzie to więc prawdziwa uczta dla smakoszy tego rodzaju literatury, a dla tych, którzy z nią się dotąd nie zetknęli – odkrycie zupełnie nieznanych obszarów, na których działała myśl ludzka. **(jd)**

Bolesław Orłowski – „Groźba i nadzieja. Sensacje z dziejów techniki", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 1982, s. 205, cena 150 zł

Autora książki o sztucznych tworzywach nie musimy czytelnikom „ŚM" przedstawiać. Mgr inż. Krzysztof Gutorski jest bowiem od pewnego czasu współpracownikiem naszej gazety i pisuje najczęściej artykuły poświęcone bardzo szeroko pojętej problematyce chemicznej. Np. w najnowszym ostatnio rozpoczętym cyklu pt. „Na co to komu?" przedstawia udział i znaczenie surowców chemicznych w różnych dziedzinach polskiej gospodarki. Mamy nadzieję, że te artykuły przydadzą się również w szkole, szczególnie wyższych klas.

Książka – którą polecam nie tylko starszym, ale i młodszym czytelnikom, gdyż jest napisana bardzo przystępnie, mimo iż traktuje o niesłychanie poważnych sprawach – zawiera podstawowe wiadomości o najważniejszych tworzywach sztucznych. Ale dowiecie się z niej także np. co odkryła śliczna cesarzowa Si-d.Ling, dlaczego pewnemu Szkotowi o nazwisku Maclntosh płaszcz przykleił się do garnituru, czy jak zbudowano nadmuchiwany powietrzem samolot. Zaś ci, którzy lubią wszystko wiedzieć bardzo dokładnie, znajdą na szerokich marginesach tej książki odpowiednią porcję najbardziej nawet skomplikowanych nazw i symboli związków chemicznych wchodzących w skład tworzyw. Książka składa się więc niejako z trzech warstw, o różnych stopniach trudności. I każdy znajdzie w niej coś dla siebie. **(jd)**

Krzysztof Gutorski – „Świat sztucznych tworzyw", z serii Krajowej Agencji Wydawniczej „Niezwykłe sprawy zwykłego świata", W-wa 1979, s. 71, cena 28 zł.

Delfiny znajdują się obecnie w centrum zainteresowania nie tylko uczonych różnych specjalności, ale i zawodowych treserów zwierząt. Publiczne pokazy zręczności i inteligencji tych morskich ssaków – należących do rzędu waleni czyli wielorybów – przyciągają zawsze setki widzów. Ci, którzy mieli okazję obejrzeć taki pokaz choćby w TV lub w kinie, muszą przyznać, że jest to widowisko niezwykłe. Delfiny wyskakują z wody na wysokość kilku metrów, grają w piłkę, aportują rzucone do basenu przedmioty, wożą na swych grzbietach tresera, zachowując się przy tym tak, jakby rozumiały każde jego słowo. Są to bowiem istotnie zwierzęta nad wyraz inteligentne, i nadal zaskakujące swoim zachowaniem ludzi przebywających z nimi.

Pani Jadwiga Wernerowa, która sama kiedyś ratowała zaplątanego na przybrzeżnej płyciźnie delfina, postanowiła jego braciom i siostrom poświęcić swą książkę. Jest w niej wiele prawdziwie fascynujących opowieści z życia tych łagodnych olbrzymów, informacji o ich budowie i fizjologii, doniesień o badaniach ich inteligencji i zwyczajów. Doskonałe ilustracje Mateusza Gawrysia bardzo podnoszą wartość tej ciekawej pozycji, przeznaczonej bez przesady dla czytelników od lat 9 do 90. **(jd)**

Jadwiga Wernerowa – „Sekrety delfinów", Nasza Księgarnia 1982, s. 74, cena 67.

Fot. **M. Szymański**

CZY ZNASZ SWÓJ KRAJ?

Rozwiązanie konkursu

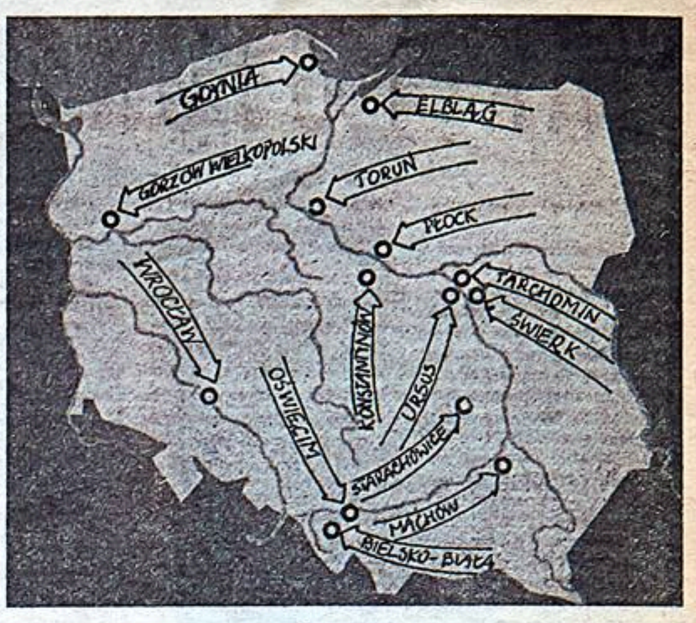

Na ogłoszony w numerze 62 „ŚM" konkurs pt. „Czy znasz swój kraj?" wpłynęło do redakcji 2357 odpowiedzi. Spośród tej liczby rozwiązań prawidłowych było 1865 i tylko te brały udział w losowaniu nagród. Tu małe wyjaśnienie: za dobre rozwiązanie pytania 7 uważaliśmy odpowiedzi, w których podawaliście, że chodzi o Tarnobrzeg, Machów lub Piaseczno. Również odpowiedzi na pytanie 12: Bielsko Biała lub Tychy uznawaliśmy za poprawne. Prawidłowe rozwiązanie całego konkursu przedstawia zamieszczony szablon.

Nagrody. Miały być atrakcyjne, ale niestety z przyczyn obiektywnych nie byliśmy w stanie zakupić wymarzonych przez nas przedmiotów. Stąd też i opóźnienie w podaniu rozwiązania. Postanowiliśmy więc sumę 10 tysięcy złotych przeznaczoną na nagrody rozlosować w postaci dwudziestu bonów towarowych wartości 500 złotych każdy.

Szczęśliwcami w losowaniu okazali się: 1) **Anna Kubska**, 2) **Marek Nosal**, 3) **Ewa Zaremba**, 4) **Sylwia Staniszewska**, 5) **Marek Miszczyński**, 6) **Katarzyna Śmigielska**, 7) **Marek Ciesielski**, 8) **Radosław Owczuk**, 9) **Maciek Smulski**, 10) **Piotr Matwiejuk**, 11) **Marek Tomaszek**, 12) **Radosław Hofman**, 13) **Andrzej Lewandowski**, 14) **Ireneusz Dobrowolski**, 15) **Iwona Szmidt**, 16) **Piotr Mierzejewski**, 17) **Anna Maj**, 18) **Jan Białokozowicz**, 19) **Jacek Gutkowski**, 20) **Katarzyna Perska**,

Podróże po Tokio (1)

GIGANTYCZNE MROWISKO

Po wielu latach spędzonych w Japonii pierwsze samodzielne wędrówki ulicami gigantycznego mrowiska, jakim jest 15-milionowe Tokio, wspomina się jako wspaniałą, podniecającą przygodę. Wtedy jednak ogarniały mnie złość i rozpacz. Wciąż błądziłam i wychodząc z domu nigdy nie wiedziałam, kiedy do niego wrócę.

Szczególnie niebezpieczną pułapką był centralny plac naszej dzielnicy zwącej się Shibuya (czytaj Szibuja), co znaczy gorzka dolina. Rzeczywiście przeżyłam tam niejedną gorzką chwilę, lecz w żaden sposób nie mogłam go ominąć, gdyż w tym właśnie punkcie krzyżują się liczne linie metra oraz miejskich i podmiejskich kolei. Kolorowe (żeby ułatwić orientację) pociągi suną po wiaduktach, a jeden sznur wagonów, co wygląda bardzo zabawnie, wtacza się do jakiegoś domu na wysokości szóstego piętra.

Wszystko więc widać z daleka jak na dłoni, ale do celu, czyli do stacji, dotrzeć bardzo trudno. Przez plac i estakady posuwa się – dach przy dachu – lawina samochodów. Aby przedostać się na drugą stronę ulicy, trzeba przejść labiryntem wysoko zawieszonych kładek, pomostów, oszklonych pasaży, podziemnych przejść. Ludzie wędrują schodami w górę i w dół, a japońskie mamy są szczęśliwe, że tradycyjnie noszą dzieci na plecach. W wielkim nowoczesnym mieście ów staromodny zwyczaj bardzo pasuje do warunków życia.

Patrzę na ten galimatias z odrobiną niepokoju i zaczynam pokonywać kolejne przeszkody wmieszana w tłum czarnych głów. Mój przeciętny europejski wzrost sprawia, że nad nimi górуję. Ruchliwa fala niesie mnie lewą stroną, tak tu się bowiem jeździ i chodzi, przy czym nie jest to naśladowanie Anglików. W dawnych czasach tak kroczyli samurajowie, aby przy wymijaniu nie trącić się mieczami przytroczonymi do lewego boku. Rycerze uważali taki karambol za zniewagę, którą należało zmyć krwią...

Współcześni Japończycy także, w największym nawet tłoku, rzadko na siebie wpadają. Mają znakomity refleks, są uważni i poruszają się w gromadzie bardzo płynnie, mimo że raz po raz tarasują im drogę kramy, stoiska i towary rozłożone na chodnikach. W ten sposób prezentują też swe wyroby młodzi artyści-amatorzy, sprzedający kiczowate obrazki oraz wykręcający na oczach przechodniów ozdoby z drutów.

Ani się spostrzegłam, gdy znalazłam się w wielkim gmachu, gdzie powinna była być stacja. Nawet na którymś piętrze mignął mi gdzieś pociąg, ale pasaż skręcił w przeciwną stronę kończąc się olbrzymią salą pełną manekinów w połyskujących kimonach. Były tak zachwycające, że zapomniałam, dlaczego się tu znalazłam. Kiedy wreszcie ochłonęłam, było już za późno. Pętałam się po ogromnym magazynie bardzo długo, wciąż zmieniając ruchome schody i windy, aż wreszcie zamiast na parter zjechałam na trzecią podziemną kondygnację. Olbrzymie targowisko huczało bębnami, muzyką, zgiełkiem, śpiewnym zawodzeniem sprzedawców zachwalających przysmaki jakich w życiu nie widziałam. Wyglądały bardzo podejrzanie, woń ich również nie była zachęcająca. Dopiero znacznie później poznałam ich nazwy i smak, jedne polubiłam, inne zawsze mijałam z daleka – np. pieczone na ruszcie lub cienko poszatkowane i polane octem ośmiornice, smażone kałamarnice nadziane na patyk, żylaste ślimaki gotujące się w muszlach we własnym sobie.

Wszystkie specjalności japońskiej kuchni, poza ryżem, są zupełnie niepodobne do tego, co my jadamy. Oto cebrzyk mikroskopijnych białych rybek, które chrzęszczą w zębach i wyglądem przypominają... małe, białe robaki. Obok sterta niby drewienek wielkości dłoni. To także rybny rarytas tak wysuszony, że można go utrzeć tylko na bardzo ostrej tarce. Ćwiartki czegoś łudząco podobnego do masła czy twarożku pływającego w pojemniku z wodą nie mają nic wspólnego z nabiałem. Gdy ekspedientka zauważyła, że się bacznie przyglądam, podała mi na wykałaczce kosteczkę owej masy. Uśmiechała się przy tym tak uroczo, że zaryzykowałam. *Tofu* – bo tak się nazywa owa galaretka ze specjalnie fermentowanych ziaren soi – nie ma żadnego smaku, lecz jest bardzo tu ceniona, gdyż dzięki obfitości protein zastępuje w dużym stopniu mięso.

Japończycy przekonali się do mięsa dopiero sto lat temu, zaczynając od konsumowania najdawniej im znanego zwierzęcia, czyli konia. Zjadali go na surowo, pokrojonego w cieniutkie różowe plastry, a dla zachęty ślicznie ów przysmak nazwali *sakuraniko*, czyli mięso kwiatu wiśni. A kwiaty wiśni są tu powszechnie adorowane i kiedy wczesną wiosną białoróżowy puch okrywa ogromne plantacje tych drzew, wszyscy wśród nich urządzają wesołe pikniki. Warto zauważyć, że owe sady – poza pięknymi, estetycznymi przeżyciami – nie dostarczają żadnych korzyści, są to bowiem drzewa tylko dekoracyjne, nigdy nie owocują.

Choć Japończycy, zwłaszcza dorośli, zachowują się tak jakby cudzoziemców, obcych, czyli po ichniemu *gajdzinów* w ogóle nie zauważali, stale ktoś proponował mi degustację. Oślizłe, zielone, wodorosty *wakame* trudno przełknąć, natomiast czarne lśniące *nori*, wyglądające jak pasek hebanowego papieru, nie było złe – trochę słone, trochę ziołowe, i lekko „rybne". Najgorzej mi poszło z trójkącikiem czerwonego, surowego tuńczyka. Urósł mi w ustach, a potem utkwił w gardle. Nigdy nie przypuszczałam, że za parę miesięcy będę zrywać się o piątej rano, by jechać na wspaniały olbrzymi targ Tsukiji, gdzie co dzień o świcie wyładowuje się na nabrzeżach olbrzymie, ważące nieraz po 800 kg mrożone tuńczyki. Leżą jeden przy drugim, jak wielkie wieprze, a lodowa powłoka, która je pokrywa, parując przesyca powietrze szronem.

W przeciwieństwie do dziadków i rodziców, młodzież japońska nie gustuje już tak bardzo w tradycyjnej kuchni. Wielkim powodzeniem cieszą się hamburgery, hot-dogi, pizza, spaghetti. Chętnie też jedliby befsztyki, ale to nie na kieszeń przeciętnego obywatela. W ogóle kupuje się tu mięso na... gramy. Kiedyś, gdy poprosiłam o kilogram schabu, za ladą zrobił się mały zamęt, bo mieli tylko wieprzowinę pokrojoną w cieniuteńkie plasterki. Dopiero z zaplecza przyniesiono mi cały kawałek, parę razy się upewniając, czy dobrze zrozumieli moją bardzo kulawą japońszczyznę.

Próbkę tego, jak nowicjuszowi trudno robi się zakupy, miałam właśnie w czasie wspomnianej pierwszej samodzielnej wędrówki. Znalazłam bowiem sklep samoobsługowy z normalnymi produktami – pieczywem, serami, mąką, itp. Najpierw wzięłam do koszyka przeźroczysty woreczek z lśniącymi krzyształkami cukru. Pomyślałam, pewno z trzciny cukrowej, bo jakiś inny. Dopiero przy kasie zdałam sobie sprawę, po zawrotnej cenie, że kupiłam coś dziwnego. Okazało się, że była to przyprawa smakowa glutaminian sodu. Ta porcja wystarczyła mi na dwa lata... Nieporozumień było więcej: zamiast puszki oleju sojowego kupiłam brunatny pikantny sos sojowy, a rzekomy biały delikatny makaron od razu rozpuścił się w gorącej wodzie, gdyż była to żelatyna. Trudne jest życie człowieka, przypadkowo osiadłego w tak dziwnym kraju jak Japonia i to w sytuacji głuchoniemego analfabety, który nie potrafi o nic w miejscowym języku spytać, niczego zrozumieć, ani przeczytać. Bo to, że tak łatwo porozumieć się po angielsku, nie jest prawdą.

JANINA RUBACH-KUCZEWSKA

Fot. **H. Orzechowski**

Fragment książki pt. „Podróże po Tokio" z serii „Globus" przygotowywanej do wydania w 1983 r. przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą.

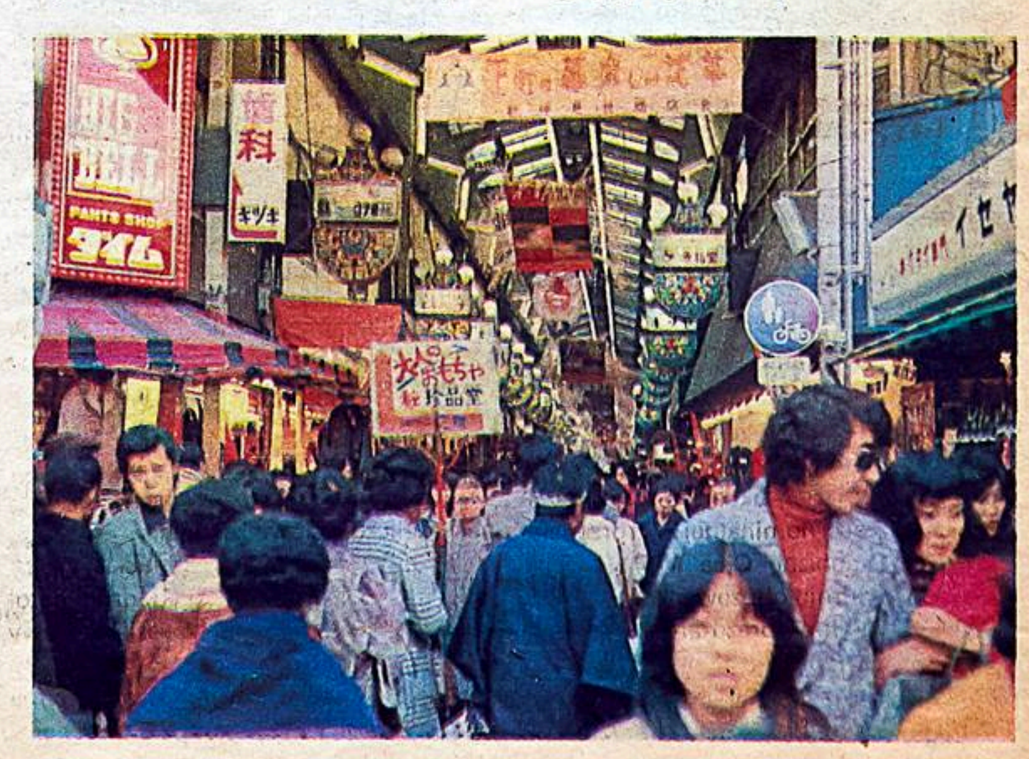

Z pokolenia na pokolenie

W RODZINIE – JAK W DRUŻYNIE

Moje pierwsze z nimi spotkanie było zupełnym przypadkiem. Szukając śladów obrońców katowickiej wieży spadochronowej z września 1939 roku znalazłem się na mecie harcerskiego rajdu „Jedna przeszłość i przyszłość nas łączy". Tę imprezę przygotowali przede wszystkim członkowie jednej harcerskiej rodziny – hm. Krystyna Gryga, drużynowa z VIII Szczepu Nieprzetartego Szlaku w Zespole Szkół Specjalnych w Mysłowicach i jej młodszy brat – phm. Bogusław Polak, komendant tegoż szczepu. Właśnie pod wieżą spadochronową w Parku Kościuszki druh Bogusław pokazał mi zdjęcie, które niejako otwiera harcerską kartę dziejów jego rodziny. Przedstawia ono cztery roześmiane dziewczyny, raźno maszerujące ulicą.

– Opowiem panu, kto jest na tym zdjęciu – powiedział druh Bogusław. – Pierwsza od lewej – to moja mama. Wtedy nazywała się jeszcze Anna Palowska i miała prawie dziesięć lat. Następne – to siostry: Zofia – rówieśniczka mamy i Helena Paszkiewiczówny. Ta w cywilu – to druhna Maria – niestety, nie znam jej nazwiska. Mama chyba też nie pamięta, bo zawsze o niej mówi: druhna Maria. Jest to pewnie ostatnie zdjęcie harcerek z 20 Drużyny im. Emilii Plater ze Szkoły Podstawowej nr 18 w Dębie. Zrobiono je wiosną 1937 roku. Poza mamą żadna z tych dziewcząt już nie żyje.

Zadzwoniłem nazajutrz do druhny Anny Palowskiej – obecnie Polakowej. Usłyszawszy o co chodzi, zaprosiła mnie do domu, by opowiedzieć o harcerkach z 20 Drużyny im. Emilii Plater.

Był późny, październikowy wieczór. W domu rodziny Polaków zastałem nie tylko panią domu, ale także jej dzieci i wnuki. Trzy harcerskie pokolenia. Poznałem więc za jednym zamachem: hm. Krystynę Grygę – najstarszą córkę druhny Anny, Andrzeja Polaka i Grażynę Kobucką („my niestety nie należymy do harcerstwa"...) i najmłodszego z rodzeństwa, a zarazem najbardziej zapalonego – phm. Bogusława; męża druhny Krystyny – phm. Andrzeja Grygę i dwóch synów Krystyny i Andrzeja: Mateusza – przybocznego w drużynie mamy posiadającego stopień przodownika i 10-letniego Sebastiana – zucha gospodarnego, szóstkowego w zuchowej drużynie... Ufff!

W całym towarzystwie najmniej pewnie czuli się ci bez mundurów. Byli w mniejszości. Babci i ojcu Mateusz i Sebastian wspaniałomyślnie wybaczyli, ale wujostwu przyglądali się z wyższością, jaką daje świadomość harcerskiego wtajemniczenia.

Nie po raz pierwszy w domu przy ulicy Jagiellońskiej popłynęły harcerskie opowieści. Najmłodszych najbardziej ciekawiły harcerskie wspomnienia babci, o jej „20-tce" z Dębu.

– Było nas niewiele, zaledwie dwadzieścia, lecz wiedziałyśmy, że spotkał nas nie lada zaszczyt. Być harcerką mogła tylko ta, która wyróżniała się dobrą opinią zarówno w szkole jak i w swoim miejscu zamieszkania, a także pozytywnymi wynikami w nauce. Moja pierwsza drużynowa, Eleonora Wilczkówna – dzięki której związałam się z harcerstwem – była naszą ukochaną wychowawczynią. Zanim jednak przyjęto mnie do drużyny, a miałam wtedy zaledwie 9 lat, przechodziłam trzymiesięczny okres próbny. Ileż się musiałam starać, by spełnić wszystkie warunki, by doczekać wreszcie chwili, gdy będę mogła włożyć mundur...

– Wiosną 1937 roku – wspomina druhna Anna – pamiętam to dokładnie, odbył się w naszej drużynie bieg trzeciego stopnia. Po raz pierwszy włożyłam wtedy harcerski mundur. Na trasie było 12 punktów, które rozmieszczono na terenie całej dzielnicy. Stali na nich instruktorzy i odpytywali nas ze znajomości Prawa Harcerskiego, wymagali opisu krzyża i wyjaśnienia jego symboliki. Najtrudniej poszło nam z alfabetem Morse'a, co nadrobiłyśmy odpowiedziami na pytanie, jaka powinna być harcerka.

Po wszystkich próbach, wieczorem w lesie odbyło się nasze Przyrzeczenie. Wokół ogniska, które rozpaliła nasza drużynowa, siedziały już harcerki i harcerze z innych drużyn. Nam nie pozwolono usiąść w kręgu. Dopiero po chwili poprowadzono nas do środka, a wszystkim kazano wstać. Nie wiadomo kiedy z mroku wyłonił się sztandar drużyny, a za nim hufcowa katowicka. Wraz z koleżankami zbliżyłyśmy się do sztandaru i wyciągnąwszy dwa palce prawej dłoni powtarzałyśmy słowa, które zapadły nam w pamięci na całe życie: „Mam szczerą wolę służyć Bogu i Ojczyźnie"...

Taki był początek harcerskiej służby druhny Anny. Później były biwaki, ogniska, kominki i obozy w Spale i Taciszowie. Wiosną 1939 roku w 20 Drużynie Harcerek wzmożono szkolenie z zakresu samarytanki i ćwiczenia z obrony cywilnej. 1 września jedynie kilka dziewcząt z Dębu pełniło służbę na punkcie ewakuacyjnym na dworcu głównym w Katowicach. Reszta, w ramach terenowej obrony przeciwlotniczej, kopała rowy pod kierunkiem ojca druhny Anny. Po wkroczeniu Niemców do miasta gestapo aresztowało starego powstańca Palowskiego i osadziło go wraz z innymi śląskimi patriotami na stadnionie w Chorzowie. Uciekł jednak stamtąd i schronił się w pobliskim kościółku w Klimowcu, dokąd druhna Anna przynosiła mu pożywienie. 4 września ojciec druhny Palowskiej wrócił do domu, ale niedługo cieszył się wolnością. Niemcy aresztowali go jeszcze w tym samym dniu. Nazajutrz złamana rodzinnym nieszczęściem druhna Anna dowiedziała się o śmierci Zofii Paszkiewicz i druhny Marii na wieży spadochronowej.

Niemcy prześladowali za przynależność do harcerstwa, ale na szczęście nie dowiedzieli się niczego o druhnie Annie. Kilkunastoletnią harcerkę wywieziono na roboty do Niemiec, gdzie doczekała wyzwolenia. Po powrocie do Polski w rodzinnym Dębie założyła drużynę harcerek i aż do 1948 roku, do rozwiązania Związku Harcerstwa Polskiego, była jej drużynową. Swoim dzieciom od zarania wbijała do głów, że tradycja w rodzinie nie może zaginąć. Poszli więc śladem mamy.

– Już jako dziecko jeździłam na obozy do Nierodzimia – mówi Krystyna Gryga. – Tam też, na „Klimczoku", poznałam swojego przyszłego męża. Oboje po rodzicach odziedziczyliśmy harcerskie tradycje, które teraz przekazujemy naszym dzieciom i podopiecznym. Inaczej się wówczas pracowało. Znałam na wylot wszystkie swoje harcerki, ich zmartwienia, kłopoty i ich warunki rodzinne. Miałam także sporo trudności wychowawczych z własnym bratem! Ale wspólnie przezwyciężyliśmy je w domu. Oczywiście pomogła mama.

Od lewej: Anna Palowska – Polak, siostry Paszkiewiczówny Zofia i Helena i do dziś nieznanego nazwiska druhna Maria (nauczycielka ze Szkoły Podstawowej nr 18) – harcerki z drużyny żeńskiej w Dębie wiosną w 1937 r

Pierwszy wspólny obóz rodzeństwa na Mazurach udał się znakomicie. Bogusław był już wtedy drużynowym w Szkole Podstawowej nr 2 w Mysłowicach i prawie cała jego drużyna pojechała na ten obóz.

Przysłuchujący się dotąd spokojnie Mateusz, który również był na tym obozie nie wytrzymuje:

– Na Mazurach zrozumiałem, że babcia nie przesadzała – harcerstwo to wielka przygoda. W Kruklinie dużo się nauczyliśmy. Pomagaliśmy leśnikom w pielęgnacji szkółek leśnych, oczyszczaliśmy drogi do obozu. Do najbliższego sklepu trzeba było iść prawie pół godziny, a od wioski dzieliło nas 7 kilometrów. Mieliśmy sporo obowiązków, a ja dodatkowo ciągłe kłopoty z Sebastianem, bo był malutki, wszędzie właził i nie sposób go było upilnować, a mama, tato i wuj byli ciągle zajęci... A jednak na tym obozie poczułem prawdziwy smak przygody.

W rodzinie Polaków bywają lepsze i gorsze dni. Jak w życiu. Ostatnio jej członkowie złączyli swe losy z młodzieżą i dziećmi specjalnej troski. Wspólnie zrobili już bardzo wiele – urządzili izbę tradycji szczepu, zorganizowali rajd, mają na koncie udane obozy i biwaki. Gdy jeszcze nie mieli harcówki spotykali się przez dwa miesiące w domu szczepowego. Czasami nawet kilka razy w tygoniu. Nieraz druhna Anna się śmiała, że nie wystarczy cukru na kartki dla 30 harcerskich smakoszy herbaty. Jak wyjeżdżali na biwak, to cały sprzęt z plecakami, namiotami, kuchenkami, śpiworami leżał w przedpokoju. Do tej pory komendant szczepu połowę harcerskich zbiorów trzyma w mieszkaniu.

Po ostatnim obozie w Rudkach Raciborskich komendę szczepu wyróżniono dyplomem „Dziennika Zachodniego" – gazety od lat patronującej najlepszym harcerskim poczynaniom. Nie to ich jednak najbardziej ucieszyło... Satysfakcję przyniósł im fakt, iż obozujący w sąsiedztwie harcerze Zamojskiej i Lubelskiej Chorągwi nie mogli się nadziwić, że na obozie „Nieprzetartego Szlaku" może być tak wzorowy porządek, dobra zabawa i tak wiele serca.

Gdy żegnałem się z harcerską rodziną Polaków i Grygów nic nie wskazywało, że kończy się już rodzinna zbiórka. Wszyscy jeszcze mieli tyle do powiedzenia...

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW

Fot. **Z. Bisanz**

Harcerska rodzina Polaków i Grygów w komplecie. Od lewej: phm. Anna Polak, jej zięć – phm. Andrzej Gryga, hm. Krystyna Gryga, zuch gospodarny Sebastian Gryga, phm. Bogusław Polak – najmłodszy syn druhny Anny i Mateusz Gryga

redaguje Piotr Wieczorek

Z NOTATNIKA FILATELISTY

W dniu 10 października br. Ministerstwo Łączności wprowadziło do obiegu pocztowego jeden okolicznościowy znaczek o wartości nominalnej 27 zł przedstawiający podobiznę **Ojca Maksymiliana Kolbego** w stroju obozowym z numerem P 16670, według obrazu artysty malarza Mieczysława Kościelniaka. Wydanie znaczka zbiegło się z kanonizacją O. Maksymiliana Kolbego.

Znaczek pocztowy wydrukowany został techniką wielobarwnej rotograwiury, na papierze kredowym, w nakładzie 3 milionów sztuk.

W dniu wprowadzenia znaczka do obiegu pocztowego w Upt Warszawa 1 stosowano okolicznościowy kasownik pocztowy, a w sprzedaży była ozdobna koperta pocztowa pierwszego dnia obiegu (FDC). Znaczek, ozdobną kopertę oraz okolicznościowy kasownik pocztowy zaprojektował artysta plastyk Krzysztof Kosmowski.

Na koniec warto jeszcze poinformować naszych Czytelników, że postać Maksymiliana Kolbego pokazana jest również na okolicznościowym znaczku wydanym w roku 1973 przez Pocztę Republiki Federalnej Niemiec.

W roku 1981 z okazji 40-lecia śmierci Maksymiliana Kolbego Poczta San Marino wydała okolicznościową kartę pocztową, która na stronie ilustracyjnej przedstawia postać Kolbego w obozowym pasiaku.

W naszym kraju stosowano dwa ozdobne okolicznościowe kasowniki pocztowe: pierwszy w roku 1981 w Zduńskiej Woli – mieście rodzinnym Kolbego, drugi natomiast w roku bieżącym z okazji Wystawy Filatelistycznej Polska-RFN. Kasownik ten przedstawia portret Ojca Maksymiliana Kolbego.

Polscy naśladowcy Rubika

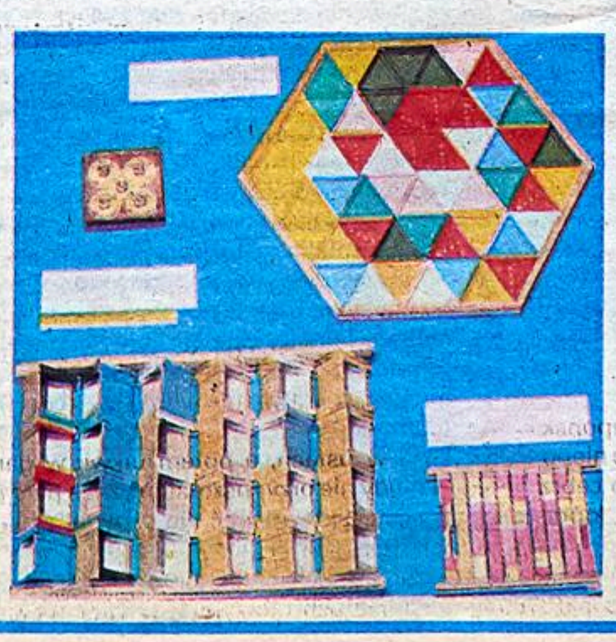

Mistrz Rubik przyjechał, obejrzał, ocenił i pojechał. One pozostały w gablotach Muzeum Techniki. Nie wszystkie, bo część autorzy wypożyczyli sobie bądź już zabrali do domu. O otwarciu tej wystawy – z udziałem dr. Rubika – pisaliśmy 12 X 82 (nr 97 „ŚM"). Wystawa nosiła tytuł „Kostka Rubika po polsku".

To co na niej zaprezentowali polscy naśladowcy sławnego Węgra, nie zawsze na oko przypominało dzieło mistrza. Ale najczęściej tak. Były więc dość liczne kostki-sześciany; niektóre prawie tak wielkie, jak samochodowe akumulatory, inne małe i zgrabne. Ale były też gry w postaci brył, o kształtach innych wielościanów, choć o zasadzie działania podobnej jak sześcian Rubika. Były też gry-kule. Poza tym – sporo różnych układanek, czasem niewiele mających wspólnego z Rubikowym sześcianem. Ba, znalazła się tu nawet druciana „łamigłówka-serce": na ramkę „nawleczone" serduszko, które, nie przecinając drutu, trzeba z ramki zdjąć. Owa łamigłówka to już żadna nowość i trudno sobie wyobrazić, by jak magiczny sześcian mogła podbić świat. Ale że spełniała widać warunki wystawy – to się na niej znalazła.

Co do samego wykonania wystawionych gier – to różnie ono wyglądało. Jedni przedstawili znakomicie wykonane modele-cacka, inni – dużo gorsze. Były i takie prototypy, które już podczas oceny przez mistrza zaczęły się rozlatywać. Ale nie to się w konkursie najbardziej liczyło i wśród gier-laureatów znalazły się też takie, które nie zanadto trzymały się kupy. O ile zainteresuje się nimi przemysł zabawkarski – a są szanse – to może ujrzymy je dopiero wtedy w przyzwoitym stanie.

Z chwilą otwarcia wystawy, zaprezentowanym na niej gromzapewniono należytą ochronę patentową. Toteż z czystym sumieniem możemy przedstawić w następnych numerach „ŚM" niektóre z nich wraz z krótkim objaśnieniem zasady działania. **(tok)**

Fot. **M. Szymański**

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

Ö S A 260

Pojazd przedstawiony na zdjęciach wyglądem zewnętrznym przypomina mocno uterenowiony samochód ciężarowy, Lecz mam poważne obawy, czy jest to w rzeczywistości samochód... Czy nie powinno się go nazywać raczej kombajnem?

ÖSA 260 wytwarzana jest przez szwedzką firmę Ostbergs Fabriks AB, działającą w ramach międzynarodowego koncernu Rauma-Repola. Koncern ten specjalizuje się w wytwarzaniu pojazdów i urządzeń przeznaczonych do wycinania i wywózki drewna z lasów.

ÖSA jest więc pojazdem, za pośrednictwem którego można wykonywać kompleks prac związanych z wyrębem drzew w lesie i ich transportem do zakładów obróbczych – głównie tartaków.

Jest w związku z tym pojazd ten i samochodem, gdyż umożliwia on wywóz drewna z lasu, i jednocześnie swego rodzaju kombajnem leśnym, ponieważ przy pomocy urządzeń zamontowanych na nim, jego kierowca może bez niczyjej pomocy dokonać ścięcia drzewa, obcięcia jego gałęzi, pocięcia na odpowiedniej długości kawałki i załadowania na platformę.

Ciekawa (i skomplikowana) jest w związku z tym konstrukcja tego pojazdu. Źródłem do uruchamiania napędu i prac wszystkich urządzeń jest ośmiocylindrowy, wysokoprężny silnik firmy Scania, spełniający rolę agregatu. Napęd na wszystkie sześć kół samochodu nie jest przenoszony bezpośrednio z silnika, lecz za pośrednictwem układu hydraulicznego. Dlatego też do silnika podłączona jest pompa hydrauliczna, z której za pośrednictwem przewodów tłoczony jest pod dużym ciśnieniem olej do urządzenia zwanego silnikiem hydraulicznym. Dopiero obroty z silnika hydraulicznego przekazywane są do odpowiedniej przekładni, z której za pośrednictwem mechanicznych wałów napędowych przenoszone są na koła przednie i podwójne pary kół tylnych.

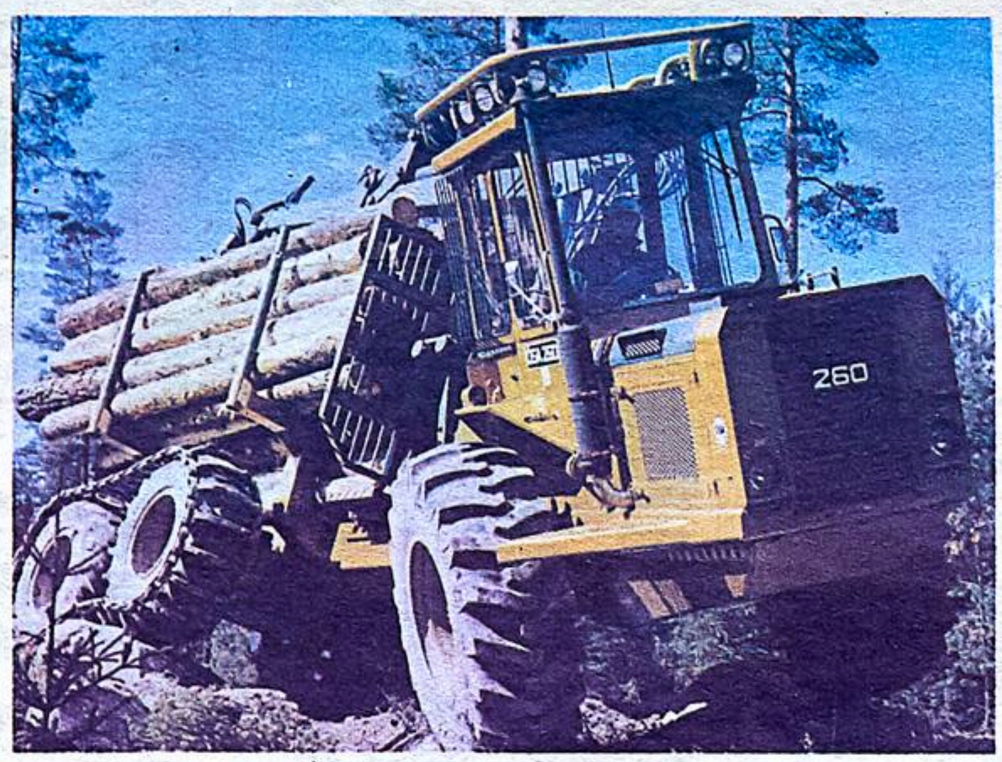

Pompa hydrauliczna, napędzana przez silnik wysokoprężny wytwarza też odpowiednie ciśnienie do poruszania piły ścinającej drzewa, urządzenia do usuwania gałęzi, oraz dźwigu do ładowania drewna.

Jednoosobowa kabina kierowcy-operatora wyposażona jest w zespół przyrządów umożliwiających kierowanie pojazdem i operowanie wszystkimi zamontowanymi na nim urządzeniami. Wygodnie ukształtowany fotel posiada zamontowane po obydwu stronach podłokietniki oraz pas bezpieczeństwa. Oszklenie ze wszystkich stron kabiny umożliwia doskonałą widoczność. Dzięki umieszczonym na dachu kabiny kilkunastu reflektorom, możliwa jest praca w warunkach złej widoczności.

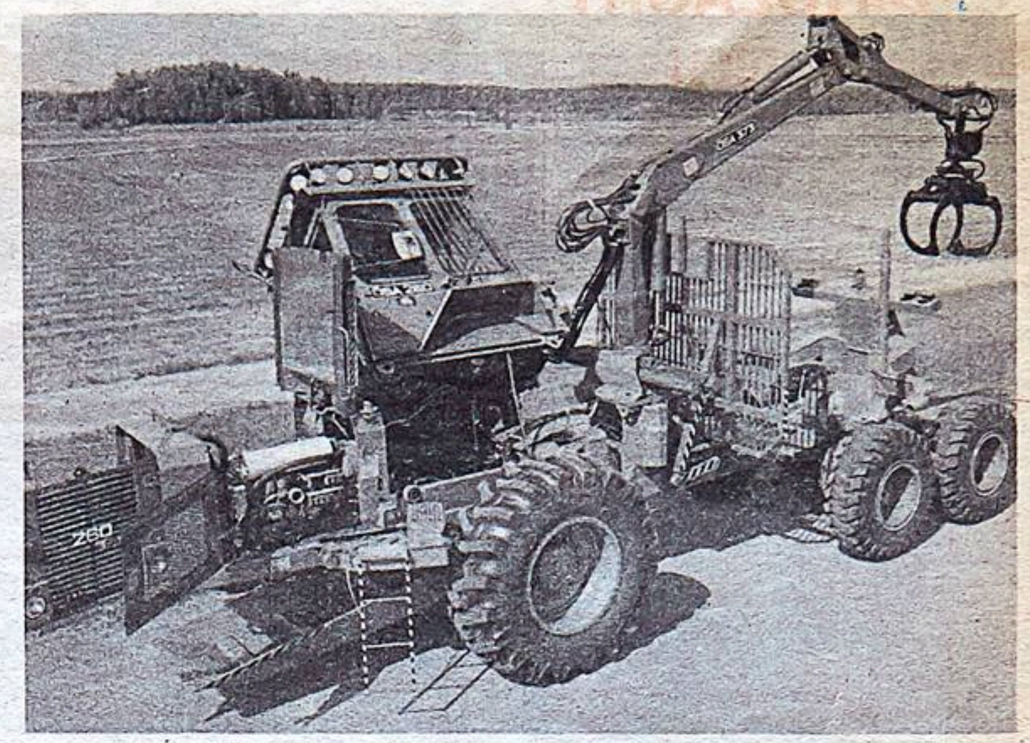

Jak widać na przedstawionej ilustracji, znakomity jest dostęp do wszystkich mechanizmów pojazdu, co ułatwia przeprowadzenie konserwacji oraz dokonywanie wszelkich napraw.

Dla zwiększenia przyczepności kół na nierównym terenie na którym zmuszony jest zazwyczaj poruszać się tego typu samochód, zastosowano elastyczne połączenie pomiędzy częścią silnikową z kabiną kierowcy a częścią roboczo-ładunkową, wyposażoną również w dodatkowe urządzenia.

Silnik ÖSA 260 ma moc 123 KW (167 KM). Całkowita długość części podwoziowej pojazdu wynosi 9300 mm, wysokość 3770 mm. Koła przednie są większe od czterech kół tylnych. Ładowność pojazdu wynosi 12 ton.

Dane do opracowania niniejszego materiału otrzymałem jak zwykle dzięki uprzejmości **Sławka Borczyńskiego.**

ZENON DUTKIEWICZ

Akwarium dla każdego (20)

ZAMIAST „KOLOROWEJ EGZOTYKI"

Przytoczę na wstępie list Ewy K. z Bydgoszczy (12 lat): *„Chciałabym bardzo hodować rybki akwaryjne. Takie piękne różnobarwne, najdziwniejsze! Chciałabym mieć pełne akwarium takiej kolorowej egzotyki!"* Stop droga Ewo! Rozumiem Twoje akwarystyczne zapały i zainteresowania, ale przy braku doświadczenia w hodowli jakichkolwiek rybek miałabyś po kilku dniach – jestem tego pewien – „zupę rybną" zamiast „kolorowej egzotyki". Starania, praca, zapał i... pieniądze – w błoto! Wybacz, ale taka jest prawda. Bo doświadcznie w akwarystyce trzeba zdobywać stopniowo, zaczynać od spraw najprostszych.

Właśnie w sprawach super-egzotycznych ryb super-trudnych do hodowli i super-drogich molestują mnie ostatnio super-początkujący akwaryści. Dlatego piszę dziś o super-naszej pięknej rybce, której mogą nam pozazdrościć najbardziej nawet egzotyczne kraje. Już sama nazwa jej brzmi pięknie – **różanka.** A można się w nią zaopatrzyć w... stawie. Gdy zima się skończy i lód stopnieje, radzę wyprawić się nad staw z siatką. Resztę powie Wam „metryczka" różanki.

RÓŻANKA (*Rhodeus sericeus amarus*). Zwana jest także siekierką. Dorasta do 8 cm długości. Występuje masowo w Europie a akwaryści rozprzestrzenili ją prawie po całym świecie. Pospolita w naszych wodach stojących lub wolno płynących: w starorzeczach, stawach, rozlewiskach, łachach. Wymaga akwarium od ok. 30-50 litrów, dość gęsto obsadzonego, ustawionego w miejscu nasłonecznionym. W zagłębieniach dna akwarium wskazane jest pozostawienie niewielkiej warstwy mułu. Temperatura wody od 6 do 21°C, podgrzewanie zbyteczne. „Przewietrzanie" wskazane tylko w okresie letnich upałów. Różanka jest w zasadzie wszystkożerna, wskazany jest jednak udział w jej jadłospisie żywych doniczkowców oraz larw komarów. Rybka ta jest ruchliwa, ale bardzo łagodna i może być bez obaw trzymana razem z innymi pokojowo usposobionymi rybami.

Samczyki są nieco większe od samiczek, co jest raczej u ryb rzadkością. Prawidłowo hodowana różanka żyje cztery do pięciu lat. W okresie tarła – w marcu-kwietniu – samczyk i samiczka „przywdziewają szaty godowe", nie ustępując w tym wielu znanym rybom egzotycznym. Płetwy samczyka, wtedy o barwie różowej lub czerwonej – mają ciemne obrzeża, w tylnej części tułowia pojawia się zielono-niebieska pręga. U zielonkawo-srebrzystej samiczki wykształca się długie (45-50 mm) pokładełko, służące do składania ikry. (patrz rysunek).

I w tym momencie zaczynają się rzeczy przedziwne, ale bardzo ważne. Otóż różanka składa ikrę wyłącznie do jamy płaszczowej małży – skójek i szczeżui. Te żywe małże trzeba po prostu też wyłowić w stawie i umieścić w akwarium jeszcze przed wpuszczeniem tam różanek. O specjalny pokarm dla małży nie musimy się troszczyć, woda w akwarium zawiera dostateczną dla nich ilość pożywienia. Zresztą – wystarczą dwie małże na parę różanek. Moment składania ikry jest bardzo ciekawy: różanka-samiczka zawisa nad syfonem oddechowym np. szczeżui, wpuszcza przezeń pokładełko do wnętrza muszli i składa przez nie kilka ziarenek ikry między płaty skrzelowe małża. W momencie wsysania przez niego wody, dostaje się do złożonej ikry mlecz samczyka i w ten sposób następuje zapłodnienie. W płatach skrzelowych małży, bez przerwy omywanych strumieniami „wdychanej" przez mięczaka wody ikra dojrzewa, a wykluty z niej narybek opuszcza to bezpieczne schronienie po ok. 4 tygodniach.

I jest to moment, w którym należy zarówno odłowić parę rodzicielską różanek, jak i wyjąć z akwarium małże. Młode różanki karmimy jak najdrobniejszym pokarmem żywym lub suchym. Po złożeniu ikry pokładełko samiczki szybko się kurczy tak, że poza okresem godowym dość trudno jest z całą pewnością określić płeć różanek. Młode rosną powoli, dojrzałość osiągają w trzecim roku życia.

Składanie ikry przez różankę jest doskonałym przykładem symbiozy – korzystnego współdziałania różnych gatunków. Bo oto różanki – wskutek manipulacji wokół muszli małża, stają się nosicielami jego larw, które wyrzucane gwałtownie przez małże do wody dopływają do ryb i wczepiają się w skórę ich płetw, ogona, tułowia. Kiedy larwa przekształca się pod skórą ryby w maleńkiego małża – odrywa się od swego żywiciela i pada na dno, często bardzo daleko od miejsca „urodzenia".

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga techniczna. Małże, choć wydają się nieruchome, przesuwają się jednak, ryjąc w podłożu „nogą" jak pługiem. Dlatego miejsce, w którym je umieścimy odgrodzić trzeba od reszty podłoża szklaną „deseczką". W przeciwnym razie zniszczą rośliny.

Myślę, że przekonałem początkujących. Do chwili pozyskania różanki z naturalnego źródła warto porządnie zagospodarować akwarium i przygotować na przyjęcie mieszkańców.

DANIO MALABARSKI

RÓŻANKA (*Rhodeus sericeus amarus*) w okresie godowym. U góry samczyk, u dołu samiczka z wykształconym pokładełkiem

---

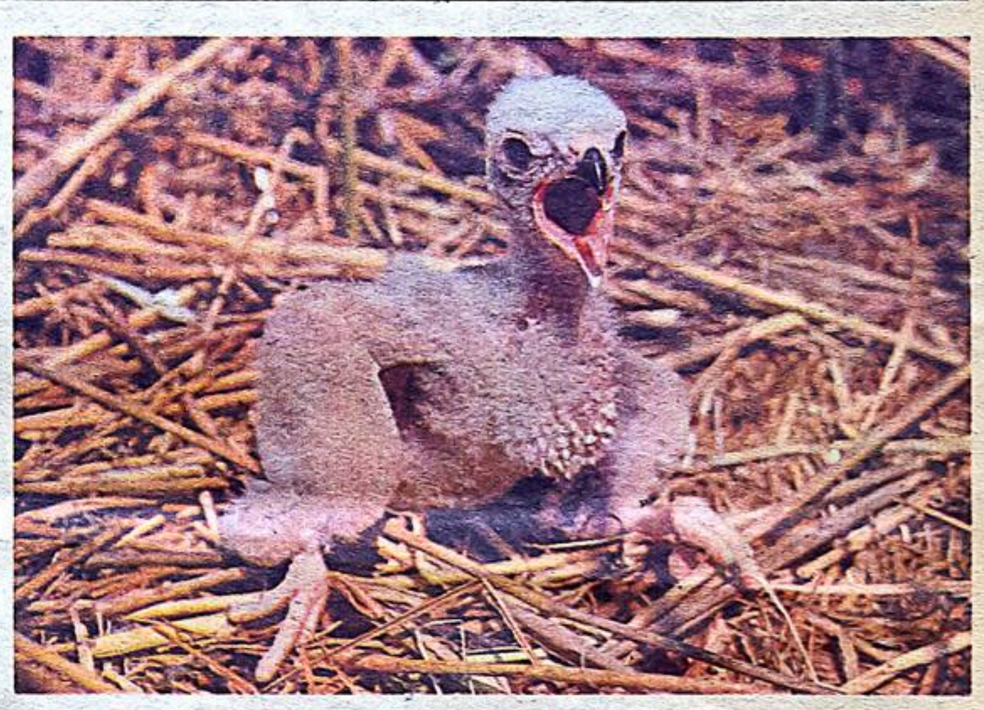

Wśród dokładnie policzonych na Śląsku ptaków jest m.in. błotniak stawowy. Gnieździ się tam 313 par tych ptaków, z czego 164 pary zamieszkują stawy milickie w dolinie Baryczy. Na zdjęciu: pisklę błotniaka stawowego.

Fot. **Tomasz Kłosowski**

NASTOLATKI badaczami ptaków Śląska

Gdyby ktoś spytał, w której części naszego kraju ornitofauna jest najlepiej poznana, wypadłoby odpowiedzieć: na dolnym i górnym Śląsku. To zasługa ornitologów z ośrodka wrocławskiego, którzy postawili sobie za zadanie zbadanie ornitofauny tego rejonu do 1985 r. Zadanie wcale niełatwe, zwłaszcza, gdy się zważy, że w ośrodku wrocławskim (a ściślej – na Uniwersytecie) pracuje zaledwie 8 osób zajmujących się ornitologią zawodowo. Mimo to – zrobiono już sporo; m.in. poznano bardzo dokładnie skład gatunkowy i liczebność ptaków wodnych – niekiedy wręcz z dokładnością do jednej lęgowej pary. Jakim cudem kilku zaledwie ornitologów, którzy poza wypadami w teren mają przecież mnóstwo innych obowiązków, np. nauczanie i egzaminowanie studentów, jest w stanie spenetrować tak wielki i różnorodny obszar?

Oczywiście, nie byliby w stanie tego osiągnąć, gdyby nie mieli współpracowników. Ale na szczęście mają. Współdziała z nimi bowiem aż 459 osób, które wprawdzie nie posiadają na Uniwersytecie etatów i nie żyją z uprawiania ornitologii, ale jednak ornitologię uprawiają z czystego zamiłowania. Większość z nich – to nastolatki...

Oni to są prawdziwą „służbą terenową", która gromadzi dane o ptakach zamieszkujących na Śląsku. Każdy bada przede wszystkim okolicę, w której mieszka. A że – jak powiedział jeden z ornitologów wrocławskich – ci zapaleńcy przede wszystkim „ciążą ku wodzie" więc i ornitofauna obszarów wodnych Śląska (stawów, dolin rzecznych itp.) została zbadana najdokładniej i najszybciej.

Badania te trwają, trudno je więc w tej chwili podsumować, choć już teraz wyniki są nadzwyczaj interesujące. Okazuje się np. że niektóre gatunki ptaków, uważane za rzadkie, są w tej, mocno zaludnionej i zurbanizowanej części kraju wcale liczne i – odwrotnie: nie brak takich, uważanych za w miarę pospolite, których stan liczebny jest wręcz katastrofalny. Bliższe dane przytoczymy innym razem. Tu chcemy zwrócić uwagę na coś innego: oto ruch młodych ornitologów – zapaleńców okazuje się bardzo prężny. Niech to będzie zachętą dla członków naszego Klubu Ptakolubów, którzy badają ornitofaunę swego miejsca zamieszkania i przesyłają nam zebrane dane. Taka działalność jest – jak widać na przykładzie Śląska – bardzo cenna dla nauki. A swoją drogą – czy wśród tych 459-ciu śląskich badaczy ptaków nie ma czasem członków naszego Klubu? Jeżeli są, to niech się swoją działalnością pochwalą! Czekamy na listy! **(tok)**

DINOZAURY – KRASNOLUDKI

Dinozaury eksponowane w muzeach robią wrażenie gigantycznych stworów. Ale warto wiedzieć, że w Mongolii odnaleziono skamieniałe dinozaury – krasnoludki liczące sobie nie więcej niż 2,30–2,50 m wzrostu. Miniaturowe skamieniałe zwierzęta pochodzą sprzed 110 mln lat. Nazwano je „psitako-saurus mongoliensis". Uczeni po dokładnych badaniach stwierdzili, że nie były one drapieżnikami. Żywiły się roślinnością i owadami.

(jz)

EGZOTYCZNE WYŚCIGI

Każdego roku, kiedy nadchodzi Święto Ryżu w Sri Lance, w pobliżu miasta Talduwu organizuje się wiele ciekawych imprez. Jedną z nich jest wyścig słoni. Te zwierzęta, uważane za powolne i spokojne, potrafią mknąć z szybkością samochodów! Dochodzi ona do 60 km/h. Słonie nie od razu zaczynają biec jak oszalałe. Powoli nabierają szybkości. Nie zawsze łatwo jest nimi kierować. Mogą, na przykład, na dłuższy czas zatrzymać się przed sygnałem startu, aby powąchać sąsiada. Mogą też zboczyć z trasy, jeśli skusi je jakiś przyjemny zapach. Jeźdźcy z całych sił kłują zwierzęta specjalnymi pałkami w boki i za uszami, aby je rozgniewać i zmusić do biegu. Jest to jednak bardzo niebezpieczne, ponieważ rozgniewane słonie potrafią bardzo wysoko skakać. A wtedy – ratuj się kto może!

W Indiach bardzo popularne są wyścigi lekkich bambusowych wózków, do których zaprzęgnięte są po dwa samce zebry. Wyścig trwa tylko 30 sekund. Zawodników jest dwóch. Reguł nie ma. Na zwycięzcę nie czekają żadne nagrody. Ale mimo to atmosfera podczas wyścigu jest bardzo napięta. Kibice krzyczą, wyją, dopingują swoich faworytów.

Do indyjskiego stanu Radżasthan raz w roku ze wszystkich zakątków kraju spędzane są wielbłądy na... konkurs piękności. Jest to jednocześnie targ wielbłądzi i wielki zjazd miłośników tych zwierząt. Uczestnikom – wielbłądom przyznawane są nagrody: za najwyższy wzrost, za urodę, za najpiękniejszą uprząż, a nawet za najcięższy bagaż dźwigany na garbie. Rekordem jest czterdziestu ludzi uniesionych przez jedno zwierzę na grzbiecie. Gwoździem programu są zawody w biegach na długich dystansach. Pierwsza nagroda przyznawana jest za szybkość, druga za długość przebytej trasy.

(jz)

Oto nasz portret ślubny. Jestem na nim różowy, bo pokraśniałem ze szczęścia. Rysowała Wiesia Stępień, którą zapisuje do Rzepklubu.

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć

ANEGDOTKI... ANEGDOTKI... nazbierało mi się mrowie listów wypchanych wyszperanymi anegdotkami:

– Panie doktorze, dotychczas tylko rozmawiałem sam z sobą, teraz chyba gorzej jest ze mną, bo piszę do siebie listy.

– Kiedy to miało miejsce ostatnio?

– Wczoraj.

– I co pan napisał?

– Nie wiem, panie doktorze. Teraz poczta nie działa błyskawicznie...

★

– Mamo, nasz pan od rysunku nie widział nigdy psa.

– Co ty plecieszl?

– No, bo narysowałem psa na tablicy, a on mnie pyta – co to jest?...

★

– Cierpię na uporczywą bezsenność, panie doktorze.

– A próbował pan liczyć barany?

– Oczywiście! Wczoraj doliczyłem do 280 354.

– I zasnął pan?

– Nie. Wstałem, bo już było rano...

★

– Ten sweterek, proszę pani, to najczystsza wełna!

– A dlaczego tu, na metce jest napisane – 50% bawełny?

– Gdzie?! A, tu... to żeby wprowadzić w błąd mole!

★

Listonosz bezskutecznie próbuje ściągnąć windę.

Dozorca bloku woła:

– Winda zepsuta!

– O rety! A ja mam list na osiemnaste piętro!

– Poradzę panu: niech go pan wyśle pocztą!

★

– To pies policyjny...

– Co pan plecie! Przecież to zwyczajny kundel.

– Psst, powiem panu w zaufaniu: to tajniak...

★

Anegdotki nadesłali: ***Darek Nowakowski, Aldona Hadyniak*** *i* ***Artur Filipek.*** *Przyjmuję ich do Rzepklubu.*

Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

RZEPKLUB

Żarty rysunkowe zamieszczone poniżej wyszperał dla Was Krzysztof Synowerski – członek klubu.

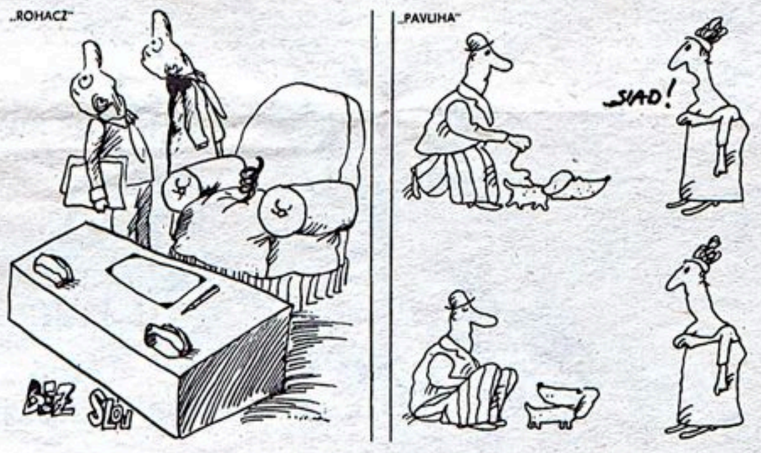

– Trafiliśmy, panie szyper, ale to nie wieloryb!

– Nie – powiedziała matka.

– Wracam. Nie będę się bronił. Niech sami osądzą.

– Kto?

– Komisja. Chyba powołali jakąś komisję. Jeśli nie, sam ją powołam.

– Nie – powtórzyła matka.

– I nie będę szukał żadnych protekcji. Zrobię to, co mi każą.

– Nie pozwalam.

Ojciec odłożył czasopismo, to była „Kultura", tym razem odłożył na dobre. Wstał.

– Wychodzę – powiedział. – Muszę się spotkać z... Z tym człowiekiem. Z ojcem Aśki. Potem wyjadę. Zabieram samochód.

Matka nie odzywała się już. Odprowadzała ojca wzrokiem, w którym czaił się namysł, może jakiś plan. Ojciec trzasnął drzwiami, matka wycofała się do kuchni, a po chwili wróciła ze szmatkami, miską ciepłej wody, wodą utlenioną, plastrami, całym aptecznym zestawem, który miał Piotrowi przywrócić ludzki wygląd.

Opatrywała syna delikatnie, nie pytając o nic i nie narzekając, potem przejechała dłonią po jego włosach i wróciła do kuchni szykując kolację. O ojcu nie mówili już, ani o bójce, ani o podpaleniu. Oglądali telewizję, ale chyba ani matka, ani Piotr nie wiedzieli, co się dzieje na ekranie. Ojciec nie pojawił się już.

Noc przeszła szybko. Piotr obudził się tylko raz, głowa trochę bolała, w ustach zaschło, napił się zimnej wody i przez chwilę, nim wrócił sen, śledził swoją nienawiść, była równie silna jak przedtem – i obudził się z nią także, dojrzałą i mocniejszą.

Zatem później, w lesie, może za Smarkulem gnała go nienawiść, a może słowa ojca. Prawdopodobnie spotkawszy Różę spróbowałby jeszcze raz walczyć, i może tym razem udałoby mu się zwyciężyć, a przynajmniej nie ulec. Nie czuł bólu, mięśnie były sztywne, ale Piotra grzała wewnętrzna pewność, że nie zawiodą, gdy zajdzie potrzeba. Szedł za Smarkulem bezszelestnie i wracała mu zręczność, przywołana nadzieją na nową, skuteczniejszą zemstę, posuwał się za moją siostrą, oddalony może o dwadzieścia metrów, a potem usłyszał jej rozmowę z mężczyzną, który chciał się ogrzać. I znów, oddalony o te dwadzieścia, czasem trzydzieści metrów, ruszył za całą trójką, za Smarkulem, Rybakiem i opiekunem Czteropalcego – najpierw przez las, potem przez kamieniste pole, przez zbocze. Tu krył się za załomami skalnymi. Przeskakiwał od jednego do drugiego, nadal bezszelestnie, to była niepotrzebna ostrożność, oni się nie oglądali. Dotarł wreszcie do ściany wyglądającej jak mur, znalazł w niej przejście, inne, nie to, w które wkroczyła śledzona trójka, i otworzył się przed nim kraj bagien, traw i zarośli.

Smarkul z Rybakiem schodzili w dół, ku małej figurce, sterczącej na skraju błot, ku chłopcu, który trzymał pod pachą niewielki rulon i spoglądał to na bagna, to na odchodzących.

Smarkul krzyczał i Piotr usłyszał, co krzyczy, a potem krzyczał chłopiec.

Dopiero wówczas dostrzegł na bagnach Czteropalcego, nieruchomego jak na fotografii, która ujęła go w długim marszu.

Czteropalcy nie wracał, choć go nakłaniano.

Piotr widział, jak chłopiec daje amuletem znaki, a potem kładzie go na ziemi. Później słyszał krótką naradę tych czworga, którzy wrócili w skały. Obserwował ich, póki nie weszli w las. Postanowił zostać, bo był pewien, że przyjdą tu znów, i przyjdą na pewno wszyscy, z Różą i ze mną.

Krajobraz znieruchomiał, kamienie nagrzewały się, znów dusił upał, jakby deszcz poprzedniego dnia był tylko szybko naprawioną pomyłką. Nad skałami unosiły się drgające słupy nagrzanego powietrza. Bagna leżały leniwie w dole, jeśli i nad nimi wisiała mgiełka, to teraz rozproszyła się. Piotr widział, jak przez lornetkę, Czteropalcego, który patrzył za odchodzącymi, a potem powoli popełzł przez trawy ku bardziej oddalonej kępie. Po drodze przystanął, chwytając ręką ledwie widoczne drzewko. Jeszcze raz zwrócił się ku brzegowi, samotny i opuszczony na skraju bagien, patrzył długo – i nagle, jakby decyzja dodała mu sił i umiejętności, zawrócił szybko ku amuletowi.

Piotr drgnął nagle i skoczył również. Czteropalcy ujrzał go, ale się nie zatrzymał, spieszył do brzegu. Piotr gnał na dół, zarył kolanami w ziemię tuż przy amulecie, chwycił go i wydawszy tryumfalny okrzyk, uciekał między skały.

Cdn.

Nerwosolka profesorka Antresolka

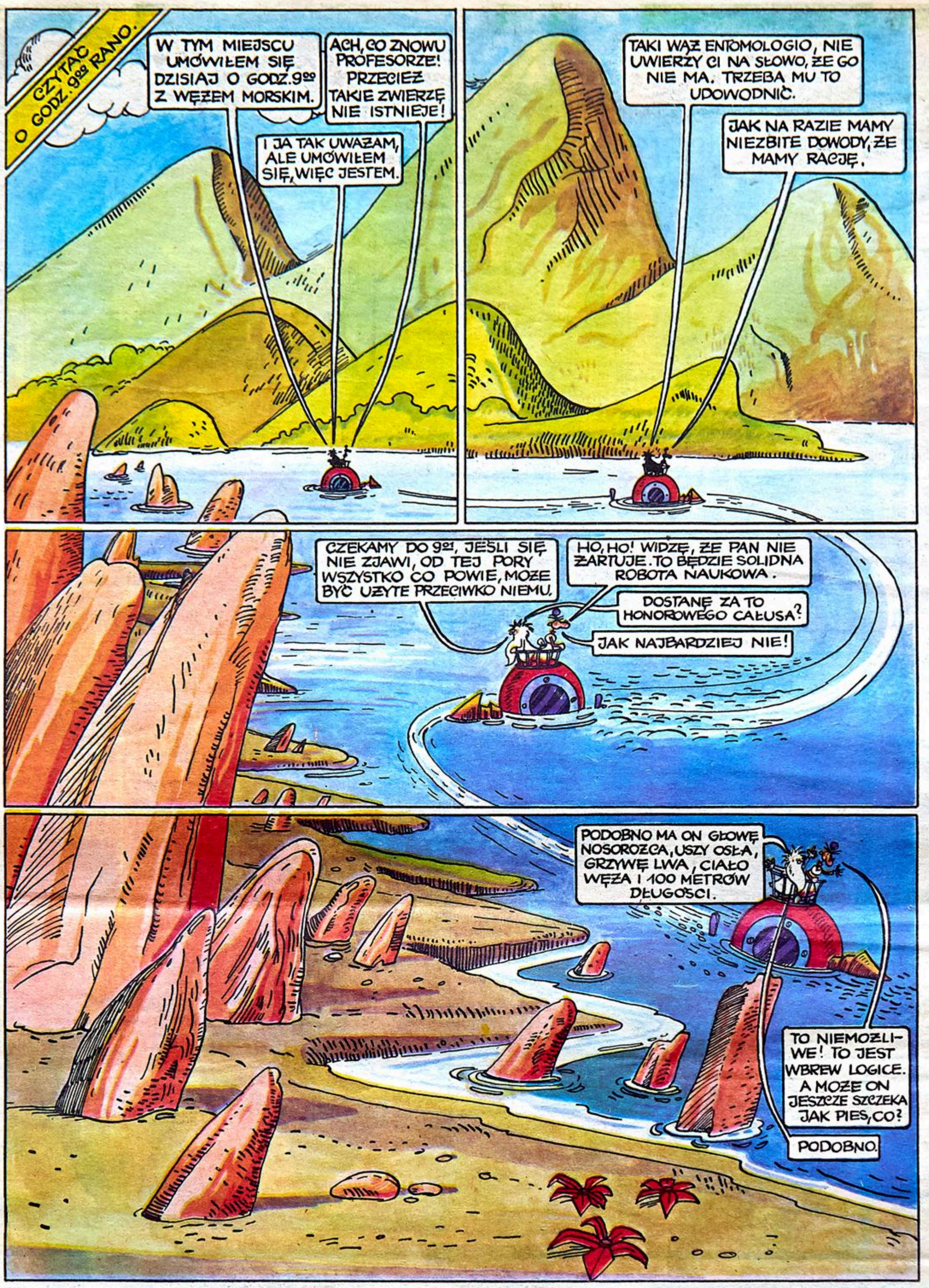

22

tekst & rysunki
T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska

Korekta
Barbara Wasilewska

Nakł. 500 292
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 5029/G. Z-32

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

ZASTĘP PYTA w szpitalu o zdrowie przebywającego tam kolegi: – A kiedy wyjdzie, siostro?

– Chyba niedługo: wczoraj na przykład prześwietlaliśmy mu głowę, ale nic tam nie znaleźliśmy...

★

– DLACZEGO się tak głupio uśmiechasz?

– Bo przyszła mi do głowy bardzo poważna myśl...

Może gnała go nienawiść, bo pałał do nas gorącą, mocną, zaciskającą zęby nienawiścią, nie wiadomo kogo nienawidził mocniej: Róży, który go pobił, czy mnie, bo patrzyłam spokojnie, doradzałam i widziałam jego klęskę.

Po bójce długo leżał na ziemi, nie dlatego, że opuściły go siły – czuł uderzenia i wiedział, że pozostawią ślady, ale jednocześnie gotów był bić się jeszcze raz i gdybyśmy nie odeszli, biłby się, i może by zwyciężył, bo nienawiść już nim zawładnęła i żądała zniszczenia Róży.

Potem poszedł do domu. Zastał ojca i na jego pytania odpowiedział, że ślady, zadrapania, siniaki ma po bójce. Bił się z Różą.

– Dlaczego? – spytał ojciec. Nie denerwował się, przypatrywał się Piotrowi spokojnie, jakby licząc obrażenia, i jakby w myśli porównywa je do tych, jakie sam otrzymał w młodości. – Dlaczego?

– Poszedłem na milicję i powiedziałem, kto podpalił tę szopę.

– A kto podpalił? – spytał ojciec. Nadal wydawał się spokojny. Siedział na kanapie, odłożył jakieś czasopismo i z dołu spoglądał na syna.

– Jakiś przygłup. Przyjaciel Róży czy coś takiego. Róża chce mu pomóc.

– Przygłup?

– No, nienormalny.

– I ty poszedłeś na milicję?

– Tak.

– Dlaczego?

– Zniszczę go. Różę.

Ojciec wstał nagle i zamierzył się na Piotra.

– Nie bij – krzyknęła matka. Była w kuchni, ale widziała całą scenę. Przygotowywała opatrunki, z zaciśniętymi ustami, z chłodną złością na twarzy. – Nie ruszaj mojego syna.

Ojciec opuścił rękę.

– Już dostał. Nie ruszę. Szczeniak. Nie znam go.

Wrócił na kanapę i podniósł czasopismo, ale nie czytał. Trzymał je przed oczyma i Piotr widział, jak płachta papieru drży, tak jak drży ręka ojca.

– Masz, co ci się należało. Łajdak nam rośnie – powiedział.

– Milicji trzeba pomagać – rzucił Piotr, miał nadzieję, że matka go poprze, ale matka przygotowywała szmatki, jakieś płyny, plastry i nie odezwała się ani słowem. – To było podpalenie.

– O dziewczynę ci szło. Straciłeś ją i postanowiłeś się zemścić – gazeta już nie drżała. – Ale jesteś zbyt tchórzliwy, by załatwić to otwarcie. Wolisz donosić. Męska walka nie dla ciebie, tchórzu. Wolisz się chronić za mundurem, tchórzu, za swoją zamożnością, tchórzu – powtarzał ojciec i to wielokrotnie powracające słowo unieruchomiło Piotra, uderzało mocniej niż pięści Róży. – Szafujesz łaskami, tchórzu, prosisz mnie o przysługi, bo sam nie jesteś nić wart, ty...

Nie mógł usłyszeć tego jeszcze raz. Zakrył uszy rękami i krzyknął:

– Ty też uciekłeś. Z miasta na działkę, żeby przeczekać. Przez ciebie woda przerwała wał. To ty jesteś tchórzem.

Ojciec opuścił czasopismo na kolana i długo patrzył na Piotra. Matka ucichła w kuchni, Piotr nie spojrzał w jej kierunku, ale był pewien, że stoi w progu.

– Dziś wracam do miasta. Wy zostaniecie – powiedział wreszcie ojciec. Jeszcze raz podniósł czasopismo, jakby chciał się za nim ukryć i milczeć, i nie słuchać.

Dokończenie na str. 7